Nr. 33. — Poznań, niedziela 13-go sierpnia 1899. — Rok III.

PRACA

Tygodnik illustrowany, ekonomiczno-społeczny i belletrystyczny.

Przedpłata w Poznaniu **już z odnoszeniem** tylko 1 markę na kwartał.

Redakcya i Administracya w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. **Telefon Nr. 295.**

Przedpłata **na pocztach tylko 1 markę** kwartalnie.

Nadesłane 50 fen. od wiersza.

„Praca" zapisaną jest na poczcie w oddziale II, t. 86.
Pojedyńczy numer „Pracy nabyć można za 15 fen. z franko przesyłką 20 fen.

Ogłoszenia zwykłe 20 fen. od wiersza.

Z kosza redakcyjnego.

Mam przed sobą wiązankę listów. Ciekawe, szczególne to listy! Są to rymowane wynurzenia tych domorosłych „poetów", z których żaden zapewne nie wyjrzał za granice prowincyi, gdzie zamieszkuje, a niejeden może nawet nie odbył dłuższej podróży w swem życiu, jak do poblizkiego miasteczka. — A jednak, choć tak niewielkich rozmiarów są ich horyzonty — znalazła drogę do serc ich nieśmiertelna iskra poezyi i w spracowane dłonie wcisnęła pióro, każąc pisać...

Co pisze i jak pisze, na co się żali i w jaką formę swe uczucia ujmuje nasz lud prosty? O, zapewne kryje się w tych wynurzeniach niewystylizowanej dłoni cząstka tej poezyi, która ożywia wiekopomne twory literatury wszechświatowej. Bezwątpienia kryje się w nich niejedna tajemna łza, co błyszczy jak brylant i niejedna tajemna struna serca, co dźwięczy tylko w tych przejawach poezyi ludowej i nigdzie indziej. Ale forma!... — jasnem jest, że do druku się nie nadaje. Z pewnością co innego szeptała do ucha tym poetom bogini poezyi, a co innego ich dłoń skreśliła. Lecz tembardziej zasługują one na uwagę jako swego rodzaju dokumenty społeczne, im nieudolniejszą jest ich forma i literacka wartość; oświetlają one bowiem wewnętrzne, duchowe życie naszego prostego ludu, wskazują kierunek jego myśli, dają wyraz jego zapatrywaniom, dotycząc najważniejszych spraw go obchodzących.

Co więc zrobić z temi utworami? Jeśli się rzecz bierze z literackiego punktu widzenia, to nie zasługują one na nic innego, jak na rzucenie do kosza; biorąc jednak rzecz głębiej, ze stanowiska psychologii społecznej, przyznać trzeba, że w tych nieudolnych próbach przemawiania w pieśni — jest coś, coby można nazwać już nie przebłyskiem talentu jednostek, lecz mową jednostki zbiorowej, całej klasy społecznej, całego społeczeństwa. Z pomiędzy wierszy wyziera tam obraz istniejących warunków społeczno-politycznych, z któremi nasz lud oswoić się nie może, które odczuwa i które na swój sposób pojmuje.

Więc też na bardzo poważne zastanowienie zasługuje naprzykład dumka wiejskiego poety-filozofa, którą podaję poniżej. Odzwierciadla się w tych nieudolnych a nawet wprost śmiesznych rymach zdumiewające u ich autora przekonanie, że przyczyną jego osobistego nieszczęścia jest... niedola całego społeczeństwa, do którego należy:

Już cię porzucam Kasieńko droga,
Bo już mnie wzywa daleka droga
W świat pójść dziś muszę, rzucić kraj kochany
I szukać pracy, ja, łzami zalany.
Nie dlamnieś ty, kochana dziewczyno,
Nie moje usta dla twoich, jedyno,
Nie moje ręce dla twoich pracują,
Bo dla obcej ziemi miedź i kruszec kują.
Inaczej by to było, Kasienko kochanie,
Gdyby obcy naród odpuścił nam danie
I wielkie podatki, co dla siebie bierze
I gdyby żyli polskiej sprawy szermierze.

Godnem uwagi we wszystkich próbach tej poezyi rodzimej jest to, że na pierwszym planie wszędzie stoi jeden przedmiot, ku któremu jak ku ognisku wspólnemu zbiegają się wszystkie promienie myśli i czucia: a tym tematem jest miłość Ojczyzny, przywiązanie do rodzinnej gleby, poczucie krzywd nam przez proces dziejowy wyrządzonych i wyrządzanych, a nadewszystko wielka, wielka gorycz, na jaką zdobyć się może tylko pokolenie, które czuje, że cierpi niewinnie.

Oto w jak krótkich a wymownych słowach skreślił pewien hutnik górnoślązki swój pogląd na fakt historyczny podziału Polski i na nasze teraźniejsze położenie:

Jeszcześmy byli maleńkie dziatki,
Kochaną Matką cieszyli się,
To naraz wkradli do naszej chatki,
Nieprzyjaciele bezbożni się;
Zabili naszą Matkę kochaną —
A nas wygnali za chatki próg,
A gdy już matka nasza umarła,
To *nas* za zbójców uznał nasz wróg.

Jest to wyjątek z dłuższego wiersza. Przytoczyłem tylko najwymowniejszy wyjątek. Zdradza on tak żywe pojmowanie tej gryzącej satyry na sprawiedliwość świata, jaką jest nasz los obecny — że zdumiewać się tylko można nad tem, zkąd się wzięło w ludzie niewykształconym tak jasne zdawanie sobie sprawy z faktów, których przyczyny tkwią w sferze międzynarodowych zatargów.

Drugim przodującym tematem jest — jest to bardzo charakterystyczne — tęsknota wychodźcy za ojczystą ziemią!

Gdy lud zdaje sobie jasno sprawę z naszego nieszczęścia narodowego, tem silniej bije serce jego przywiązaniem do ojczyzny. Oto dowód, z tych „niewydanych poe-

matów“ zaczerpnięty, których los kończy się prawie wszędzie w koszu redakcyjnym:

Wiarus ci ja wiarus
Z pod Ostrowa rodem,
Wypędzony z polskiej ziemi
Uciskiem i głodem.

Lecz choć jestem zdala
Od ojczystej ziemi,
Zawsze tylko o niej marzę
Razem z braćmi memi.

A kiedy tu zbiorę
Grosza worek spory,
Wrócę, by wykupić w Polsce,
Co straciły dwory.

Przytoczę wreszcie wiersz, nadesłany z Westfalii: *Do pieśni polskiej:*

Płyń piosenko, płyńże dalej
Goń w krainę naszą, goń,
Gdzie sercu drodzy zostali
Dzwoń im tę nowinę, dzwoń.
Dzwoń im o nas tu w Westfalii
O rodakach z innych stron,
Żem Cię duszą pokochali
Pieśni polska — — — —
Dzwoń, ach dzwoń im tam w oddali
O tułaczach polskich dzwoń,
Którzy nieraz już wzdychali
Za swą chatką, do swych stron.
Tak wzdychali i płakali,
Łzy płynęły nieraz krwią,
Ku wschodowi spoglądali
I w westchnieniu byli z nią.
Byli z nią, z tą nieszczęśliwą,
Która jęczy od stu lat,
Byli duchem z naszą niwą
W pośród naszych miast i chat.
Dzwoń i powiedz Matce jeszcze,
Że cierpimy razem z nią,
Że umierać gdyby wreszcie
Przyszło — za nią albo z nią.
Pieśni polska, ty im dokończ!
Dzwoń więc piosnko, silnie dzwoń!
Gdy nam rozpacz serce żre,
Ty z cierpieniem nas oswoisz
I osuszysz krwawą łzę. —

Już sam wybór tematów świadczy wymownie, że te przejawy poezyi są wiernym refleksem życia naszego ludu — a jako takie — niepoślednie mają znaczenie.

A wreszcie jedno jeszcze spostrzeżenie: czy dla człowieka inteligentnego, dla człowieka żyjącego wśród naszego narodu i śledzącego jego losy, te odruchowe drgnienia duszy ludu, z jakich zrodziły się przytoczone powyżej wiersze, nie są dowodem, że lud ten prosty czuje i rozumie swe położenie, że ma pojęcie o krzywdach, na jakie przebieg dziejów go wystawił, że nie obumiera w nim nadzieja lepszego bytu i szczera chęć pracą własną utrwalenia budowy gmachu narodowego?...

I, pytam, czy to spostrzeżenie nie ma w sobie czegoś bardzo, bardzo kojącego, — czegoś, co jak balsam nadziei łagodzi ból serdeczny w chwilach zwątpienia powstały?... Czy z tego przeświadczenia, że lud nasz tak czuje i myśli nie wykwita różowa jutrzenka nadziei, że przyszłość należeć do tego ludu musi i należeć będzie?...

A jeśli tak jest, to dzięki tej nieudolnej poezyi prostego ludu! Niechże lud nasz zawsze znajduje w pieśni oddźwięk swych uczuć i niechaj nad temi uczuciami zawsze króluje miłość do ojczyzny i wiara w przyszłość!

Kazimierz Radwan.

„Bank Przemysłowców“
w Poznaniu.

Słowa łacińskiego poety „paulatim summa petuntur“ (powoli na najwyższe wzbijesz się wyżyny) zapewne w żadnej instytucyi naszej finansowej nie znalazły dotąd tak świetnego potwierdzenia, jak w poważnej spółce poznańskiej, noszącej dziś miano „Banku Przemysłowego“.

Z drobnych środków poczęta, do wielkich celów stworzona instytucya ta przeszła stopniowo wszelkie fazy rozwoju, pokonawszy rozliczne trudności, które porówno z braku funduszów, jak niedostatecznego ocenienia przedsięwzięcia u strony publiczności wynikały.

Pierwotna nazwa banku brzmiała „Towarzystwo pożyczkowe przemysłowców miasta Poznania“. Spółka ta założona dnia 12-go maja r. 1861 a do rejestru handlowego zapisana pod datą 30-go czerwca r. 1872, liczyła początkowo 55 członków a suma udziałów sięgała skromnej cyfry 327 marek. Odpowiednio szczupłe kwoty przypadały na fundusz rezerwowy, depozyty i weksle. Ale już w dwa lata po założeniu liczba członków się podniosła, udziały potroiły a siedmiorakie w stosunku do początków zapasy depozytów świadczyły o rosnącem zaufaniu publicznem. Tak, stopień po stopniu, aż do r. 1872 zaznaczał się bezustanny rozwój „Towarzystwa pożyczkowego:“ dwa lata wszakże następne t. j. 1873 i 1874 powstrzymały rozrost prawidłowy, skutkiem strat poważnych, powstałych z nieprzezornej administracyi. Ale przesilenie to, szczęśliwie pokonane, przelotnego było tylko znaczenia. Następne lata przywróciły równowagę, jakkolwiek znacznie uszczuplona liczba udziałowców, która w latach przesilenia już tysiąc przekroczyła, a tak samo cyfra udziałów i depozytów, dopiero po długim szeregu lat podniosła się do poprzedniej wysokości.

Tak się w grubych zarysach przedstawia rozwój spółki pod kierownictwem ś. p. Feliksa Rakowskiego. Dla uzupełnienia nadmienić należy, iż na walnem zebraniu dnia 12-go września r. 1888 zmieniło Towarzystwo pożyczkowe swą firmę, a przybrało nazwę „Bank przemysłowców miasta Poznania Sp. zap. — Eing. Genossenschaft“.

Od r. 1891 kierownictwo banku spoczywa w ręku p. Michała Więckowskiego. Nowy dyrektor zastał instytucyą dobrze zagospodarowaną. Rejestr członków od zaznaczonej powyżej chwili przesilenia znowu wykazywał poważną cyfrę 1056 a udziały ich przekroczyły 200000 mrk. Wyczerpany poprzednio fundusz rezerwowy znowu wzrósł do wysokości 10000 mrk. przeszło, depozyty dosięgały prawie już 1300000, a weksli zdyskontowanych przez tenże rok 1891 było za 1286447 mrk.

Liczby te stanowiły miarę wielkiej odpowiedzialności dla mężów postawionych na czoło poważnej naszej instytucyi finansowej, osobliwie zaś dla stojącego na czele dyrektora. Wniknąć w charakter instytucyi, rozwinąć bardziej jeszcze jej organizacyę, z jednej strony uprzystępniać kredyt jak najszerszym kołom interesantów, z drugiej utrwalać i wzmacniać zaufanie deponentów, zastosowywać przezornie operacye finansowe do zmieniających się ustawicznie konjunktur na członkach pieniężnych a wszystko to w coraz szerszych ramach działalności banku, oto nie łatwe zadanie, które spoczęło głównie w ręku p. Więckowskiego. Nowy dyrektor odpowiedział mu w całem tego słowa znaczeniu, a prawidłowem kierownictwem swojem wkrótce nawet niechętnych członków, przenoszących osobiste i polityczne przeciwieństwa na zupełnie neutralne pole publicznej prasy, przekonać zdołał, że wybór po śmierci ś. p. dyr. Rakowskiego był trafnym i szczęśliwym.

Dobitniej niż słowa świadczą cyfry zamieszczone w bilansie za rok obrachunkowy 1898. W chwili jego zamknięcia liczba członków dosięgała już 2600 prawie, udziały wynosiły przeszło 1,200,000, fundusz rezerwowy znajdował się w poważnym zasobie 150,000, depozyty przekroczyły półczwarta miliona, a obrót wekslowy przewyższał 4 miliony.

W tych oto ogromnych cyfrach zaznacza się rozwój Banku przemysłowców pod nową dyrekcyą, potwierdzając słowa na początku artykułu przytoczone „paulatim summa petuntur“.

Niepoślednia miara pracy i zasług około dobra największej tej spółki naszej przywiązaną jest do dwóch jeszcze imion t. j. pp. Władysława Kortaka i Wincentego Brylińskiego. Obaj nieledwie od początku jej istnienia należeli do zarządu, obaj i dziś jeszcze wraz z p. M. Więckowskim stanowią jej dyrekcyę.

Gdy się zważy, ile dorobku zawdzięcza społeczeństwo nasze Bankowi Prze-

mysłowców, ile rąk pracowitych znalazło pomoc w jego kredycie, ile egzystencyi się dźwigło, ile nowych powstało, dzięki organizacyi uprzystępniającej pożyczki nawet najmniejszym, to z zadowoleniem i pewną dumą patrzeć możemy na tę okazałą finansową budowę o 33 milionach obrotu rocznego dzisiaj, a przed 38 laty prawie że trojaczkowym systemem rozpoczętej. Patrząc zaś wstecz na ten stopniowy a olbrzymi rozrost ufać trzeba, że i te wyżyny, na które się wzbiła ta organizacya finansowa jeszcze nie najwyższym jej szczytem.

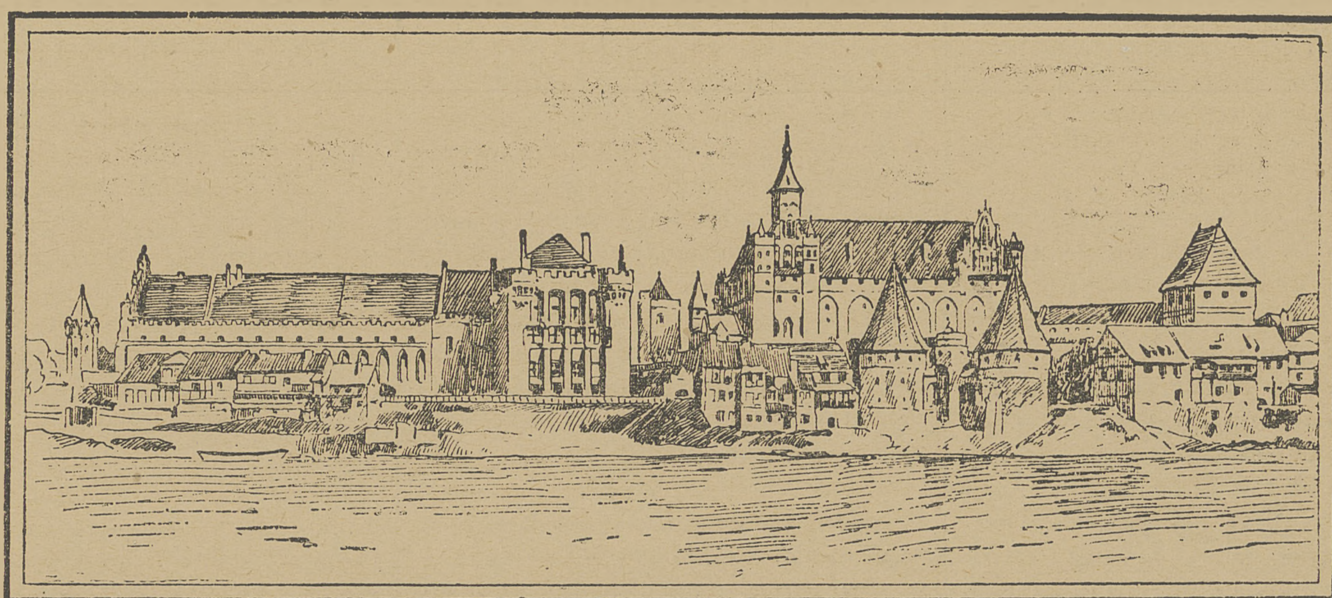
— Na prawo zwrot! — zakomenderował Gallifet i oficer na komendę musiał powrócić na swoje miejsce.

W kilka miesięcy później, gdy powrócił do Francyi z poselstwem, które Napoleonowi III-mu wręczyło sztandary, zdobyte na nieprzyjacielu, cesarz winszował Gallifetowi odwagi:

— Najjaśniejszy panie! — rzekł Gallifet — było nas tam takich 16,000...

Za tę odpowiedź cesarz zamianował go szefem szwadronu.

W r. 1873 generał był szefem kolumny ekspedycyjnej w El-Goleah. Zadaniem oddziału wojskowego było zdobycie oazy tejże nazwy, pozostającej od paru mie-



Zamek krzyżacki w Malborku. (Patrz tekst na str. 334).

Z TYGODNIA.

Przed laty kilkudziesięciu adjutant cesarza Napoleona III-go, dziś republikański minister wojny — to zjawisko niecodzienne. — Bo też niecodzienną osobistością jest generał Gallifet, dzisiejszy francuzki minister wojny. Niegdyś lew nietylko salonów, ale i pól bitew, żołnierz nieustraszonej odwagi, dziś powłóczy nogą, przestrzeloną w paru miejscach w jednej z walk krwawych pod Sedanem, a w ciele nosi do dziś dnia kulę meksykańską.

Już początki karyery wojskowej Gallifeta były świetne. W wyprawie meksykańskiej brał udział jako kapitan. — W bitwie pod Puebla kapitan Gallifet padł z brzuchem otwartym odłamem granatu. Jeden z oficerów skoczył mu na ratunek.

— Zrób mi tę przyjemność — rzekł ranny — i wracaj na swoje miejsce. Wynik bitwy wątpliwy, potrzebniejszyś pan tam, niż tu.

— Ależ, kapitanie!... — usiłował protestować oficer.

sięcy w rękach szeika Brahim-Bu-Chucha, straszliwego bandyty, który rozbijał karawany i zagrażał nieustannie francuzkim



Jenerał Gallifet.

posterunkom granicznym. Była to wyprawa niesłychanie nużąca, wymagająca czujności niezwykłej. Gallifet, który cierpiał jeszcze na rany, otrzymane w wyprawie meksykańskiej — niektóre z nich otwierają się i krwawią dotychczas — dawał dowody wytrzymałości nawet nadludzkiej. Przed świtem, na długo przed capstrzykiem porannym, generał był już na nogach, dyktował rozkazy dzienne, organizował służbę etapową na dni następne, przyjmował deputacye tuziemców, które przynosiły wodzowi francuzkiemu *aman*.

Gdy powrócił z Uargla po zdobyciu El-Goleah, przyjmował delegatów pokolenia Beni-M'Zab, którzy pragnęli odzyskać majątki, odebrane na czas jakiś Arabom, jako gwarancyę zwrotu pożyczek, wziętych od plemion saharskich przed powstaniem.

— Prosicie, czy żądacie? — pytał generał.

— Żądamy — brzmiała odpowiedź.

Wówczas Gallifet, choć sam upadał ze znużenia, kazał zaalarmować pułk swój, który dopiero co powrócił z niesłychanie ciężkiej wyprawy. Zdumienie oficerów było powszechne. Rozkaz był wyraźny, więc pułk, który przed chwilą zrzucił tornistry, w pół godziny stanął w szyku bojowym. Gallifet wsiadł na konia, kazał jechać obok siebie delegatom arabskim i przez dwie godziny odbywał przegląd pułku. Po ukończeniu zapytał:

— Widzieliście?

— Widzieliśmy.

— Czy stawiacie jeszcze żądania?

Lichwiarze z Beni-M'Zab odeszli ze spuszczonemi głowami.

W 65 roku życia generał Gallifet wziął dymisyę na zasadzie prawa, zabraniającego generałom sprawowania wyższego dowództwa po przekroczeniu oznaczonego wieku.

Z Konstantynopola donoszą o śmierci wpływowej figury — kamerdynera jego sułtańskiej mości, Luftiego Agi. Człowiek ten, obdarzony niepoślednim sprytem, rozpoczął karyerę jako służący wielkiego wezyra, Mahmuda Nedim-paszy. Gdy ten popadł w nie-

łaskę i został wygnany na wyspę Lesbos, Lufti postanowił oswobodzić swego pana i przywrócić mu dawne stanowisko. Było to zadanie trudne, zwłaszcza dla zwyczajnego lokaja, Lufti podołał mu jednak. Póty poruszał wszelkie sprężyny, aż wreszcie, po pięciu latach, Mahmud powrócił, a nawet został mianowany ministrem spraw wewnętrznych.

Po jego śmierci, w r. 1880 Lufti, wraz z trzema innymi służącymi, przeszedł do służby sułtana, albowiem sułtan zwykł wybierać swój personał służbowy z pośród zaufanych i wypróbowanych sług dostojników tureckich. Lufti piastował kolejno różne godności: był „sedża deżdżi-paszą“, czyli rozwijaczem dywanu, na którym padyszach odprawia modlitwy; „mussaibem“, czyli dostarczycielem przyjemności; „tutundżi paszą“, czyli urzędnikiem, mającym pod swoją opieką — tytuń jego cesarskiej mości; wreszcie kamerdynerem.

Potrafił zdobyć sobie taki wpływ na Abdul Hamida, że ten radził się go we wszystkiem. Sułtan nie może sypiać po nocach, otóż jednemu Luftiemu dozwolony był wstęp do jego osoby, on jeden dotrzymywał padyszachowi towarzystwa podczas długich godzin bezsenności. — Wtedy to „urabiał“ sądy wielkiego mocarza, podsuwał mu nominacye, obalał lub też utwierdzał najwyższych dostojników państwa. On to wpłynął na mianowanie Tashim-beja pierwszym sekretarzem sułtana.

Dobijali się o to stanowisko po śmierci Surrejaspaszy, przed laty czterema, pierwsi dostojnicy, lecz Lufti wszystkich pokonał, zjednywając tem sobie, naturalnie, wdzięczność swojego protegowanego. — Lufti nie gardził brzęczącemi objawami uznania swych zasług i wpływów; bakszysze, czyli po prostu łapówki, przynosiły mu rocznie po 40,000 funt. tureckich, miał w obrębie Yldiz-Kiosku swój pałacyk, do którego tłoczyli się pierwsi dostojnicy państwa, dziękując lub prosząc o jego protekcyę.

Straże pałacowe prezentowały broń przed nim, miał ekwipaże i zaprzęgi, którychby się i sam sułtan nie powstydził. Przed kilku laty syn Luftiego został mianowany szambelanem. — Wielu ludzi odetchnie swobodnie po śmierci tej wpływowej osoby, lecz wielu też drży o swe stanowisko.

Z Brukseli donoszą, że po kilkotygodniowem szamotaniu się upadł klerykalny gabinet Van den Peere Boom. Pamiętamy, z jaką to bezwzględnością, z jakim zamachem przyciskał Van den Peere Boom mniejszość Izby belgijskiej do ściany. Przypomnijmy sobie, co z tego wynikło. Rewolucya na ulicach Brukseli, rozruchy w miastach całego kraju, niedwuznaczna mina gwardyi obywatelskiej, wskazująca, że to obywatelskie wojsko jest po stronie obywateli, a przeciw rządowi; płomienne mowy, agitacya nie przebierająca w środkach.

Powrót króla z Ostendy. Konferencye gabinetowe. Spuszczenie z tonu kierującego męża stanu. Szukanie kompromisów w Izbie. Kilka tygodni rozpraw w komisyi wyborczej. Kompromitacya. Sromotny upadek gabinetu. Tak się kończą wszystkie zachcianki zamachowców. W Belgii wystarczyło pogadać na ulicach miasta po belgijsku, a rządu już nie było. Obyło się bez krwi, na szczęście. Nie wszyscy jednak są tak szczęśliwi jak Belgijczycy.

Pożar w Malborku w niebywałych rozmiarach wybuchł w ubiegłą środę rano i trwał przez cały dzień aż do późnej nocy. Spaliła się znaczna liczba domów, pomiędzy innemi i dwie apteki.

Ogień wybuchł o godzinie 5 rano przy ulicy Stajennej, położonej tuż nad odnogą Wisły, zwanej Nogatem w zamkniętej stajni rzeźnika Brühlingera z przyczyny niewiadomej. Gdy ogień zauważono i stajnię otwarto, dwa konie, znajdujące się w stajni i kilka świń już w ogniu zginęły. Płomienie przeniosły się natychmiast na budynki stojące po prawej i lewej stronie stajni, stajnią i śpichrz, a gdy krótko przed godziną 7 przyszedł wiatr od wschodu, poczęły się palić domy przeciwległe, poczem stanął w płomieniach dom Brühlingera, położony naprzeciw ratusza. W godzinę później kierunek wiatru znowu się zmienił i powstał wiatr północny, który morze płomieni pędził ku zamkowi krzyżackiemu. W pół godziny później runęła wieża ratuszowa i prawie wszystkie domy wokoło ratusza poczęły się palić; kilka domów na rynku musiano ustawicznie oblewać wodą, aby je ochronić przed ogniem.

Na miejsce nieszczęścia przybyła straż pożarna z Gdańska o godz. 10 przed południem, z Elbląga godzinę później, następnie z Tczewa i wszystkie z okolicy Malborka.

Z powodu szybkiego rozszerzania się pożaru nie można było ratować sprzętów domowych, dla tego wiele zgorzało. — Wiatr zapędzał kłęby dymu aż ku dworcowi. Ze znaczniejszych budynków zgorzały fabryka mydła, hotel „Germania“, drukarnia „Nogat Ztg.“, stare gimnazyum i wyższa szkoła żeńska. Zamek krzyżacki nic nie ucierpiał.

Prawie wszyscy pogorzelcy byli jednakowoż ubezpieczeni. Z osób nikt nie poniósł obrażeń.

Redakcye wszystkich niemieckich pism illustrowanych wysłały swych rysowników i fotografów i podają ryciny pogorzeliska. Przyczyni się to do poparcia loteryi, którą urządzą Niemcy na odbudowanie miasta.

Malborg w ostatnim czasie upadał co do liczby ludności i dziś liczy 10,560 dusz. Stanu robotniczego prawie tam nie ma, choć jest wiele biedaków. Podczas pożaru złodzieje dali się też wszystkim we znaki. Gdy się pożar wzmógł na dobre, wszyscy potracili głowy i powynoszone z domów sprzęty i rzeczy stały niestrzeżone pod gołem niebem Złodzieje mnóstwo z tego pokradli, a tacy byli przy tem dowcipni, że pobrali lepsze i cenniejsze przedmioty, lichsze pozostawili na miejscu.

Szkody, jakie wyrządził pożar, wynoszą: w domach 680,000 mk., w spichrzach i domach tylnych 660,000 mk., w meblach 200,000 mk., w towarach różnych i maszynach 408,000 mk.

Nasz klisz przedstawia zamek krzyżacki, który ocalał. *K. O.*

PRZEGLĄD PRASY.

Burmistrz miasta Gniewkowa, p. Kowalski, wydał nakaz, aby p. B. właścicielka sali usunęła znajdujący się tam portret Mickiewicza. Dyktatorskie to rozporządzenie nagrodzone zostało głośną salwą śmiechu w całej prasie polskiej, gdyż pan burmistrz zupełnie był nieuprawniony do wydawania tego rodzaju zakazu. Postępek jego znajduje bardzo dosadnią ocenę i w bezstronnych pismach niemieckich. I tak **„Posener Neueste Nachrichten“** piszą:

> „Dziwaczne rozporządzenie wydała gniewkowska głowa miasta. (Tu następuje dosłowny tekst ukazu). To zagrożenie karą jest wyborne; zagrożona nią obywatelka dobrze zrobi — jeżeli natychmiast wystosuje zażalenie do wyższej władzy, aby ta pouczyła pana burmistrza, jak daleko właściwie sięga jego władza i kiedy przekracza granice śmieszności. Zdumiewający to zaiste fakt, jakie zamięszanie pojęć wywołała walka o kresy wschodnie w niektórych umysłach. Nawet w Rosyi byłoby podobne zagrożenie rzeczą wręcz niemożliwą. Rosyanie nie dopatrywali się nawet w tem niebezpieczeństwa, dla państwa, że w Warszawie wystawiono pomnik wspaniały kosztem pół miliona marek.“

W Nisie na Górnym Szlązku ma się odbyć niebawem wiec katolików z całych Niemiec. Dzięki jakiemuś szowinistycznemu zaślepieniu, które zresztą nikogo z obecnych centrowców dziwić nie powinno, Komitet wiecowy wykluczył zupełnie mowę polską z wieca. Bardzo słuszne uwagi czyni **„Dziennik Szlązki“**, który stwierdza przedewszystkiem, że na dawnych wiecach katolickich na Górnym Szlązku zawsze dzielono wiec na dwie równouprawnione części, polską i niemiecką — że na polskiej sekcyi mówiono po polsku, na niemieckiej po niemiecku, a rezolucye łączono w jednę całość i zawsze zgodne wysyłano, gdzie należy. A dalej pisze:

> „Nisa także leży na szlązkiej ziemi, zamieszkiwanej gęsto przez ludność pol-

ską. O tem komitet wiedzieć był powinien i wiedział też na pewno. Gdy zaś mimo to na wiecu panować ma wyłącznie język niemiecki, samo przez się nasuwa się przypuszczenie, że komitet pragnie urządzić wiec dla samych tylko Niemców-katolików.

„Komitet wiecowy wykluczył zupełnie mowę polską z wieca niskiego. Do tego musiał mieć słuszne powody, których jednak ogłosić nie uważał za potrzebne, i których domyślać się także nie mamy potrzeby. Ale komitet wiecowy nie może wymagać, abyśmy ludność polską wzywali do uczestniczenia w wiecu, gdzie rozprawy toczyć się będą w języku dla niej niezrozumiałym.“

Niemniej trafnie omawia sprawę bytomski **„Katolik“**, którego zdanie może być uważane bez wątpienia za wyraz większości ludu górnoszlązkiego.

„Kto się od katolików niemieckich spodziewał słusznego uwzględnienia języka polskiego na tegorocznym wiecu katolików niemieckich w Nisie, jako mieście, położonem na Górnym Slązku, którego ludność katolicką w ogromnej większości stanowi lud polski, ten chyba zapomina, iż dzisiejsze centrum wobec Polaków zajmuje inne stanowisko, jak dawniej i jest bądź co bądź partyą rządową, unikającą jak najostrożniej każdego pozoru, mogącego je narazić na podejrzenie życzliwości względem Polaków u rządu pruskiego, w oczach którego uwzględnienie choćby najsłuszniejszych wymagań ludu polskiego jest ciężkim grzechem politycznym.“

„Germania“, dawniej tak życzliwa Polakom, a od pewnego czasu podszeptom hakatystów widocznie dająca posłuch, w sprawie tej także nie umiała zająć bezstronnego stanowiska — i irytuje się na Polaków, że od wieca stronią i na pisma polskie, że wystąpiły z krytyką wobec urządzających wiec i ich organów. Pisze w tonie podrażnionym i wyniosłym, „że dla tego uwzględnienie języka polskiego na wiecu jest „niestosowne“, ponieważ to wiec niemiecki, że Polaków tylko z grzeczności zaproszono, więc ztąd jakiegoś prawa do uwzględnienia ich języka rościć sobie nie mogą. W odmowie Polaków widzi „brak taktu i delikatności“, a nawet „arogancyę“, a „Dziennikowi“ i „Kuryerowi“ zarzuca „Gehässigkeit“ względem siebie.

Trafnie na to odpowiada **„Dziennik Poznański“**:

„Myli się szanowny kolega berliński, jeżeli sądzi, że żywimy względem niego jaką niechęć lub nawet nienawiść. Nie, my tylko czujemy żal, że **„Germania“** zeszła z pięknej drogi prawdy i sprawiedliwości, jaką kroczyła za czasów nieodżałowanej pamięci Windhorsta i że obecnie wpływom hakatystycznym coraz większy daje posłuch, jak tego dała świeży dowód w wręcz obłudnem traktowaniu słusznego żądania Polaków szlązkich, aby skoro ich na wiec zaproszono, uwzględniono na nim także ich język, choćby w minimalnej mierze. Dlaczegożby nie można w Nisie urządzić osobnego wydziału dla katolików Polaków? Jeżeli to było możliwem na wielkim wiecu polsko-katolickim w Poznaniu, to nie mniej możnaby podobnie postąpić wobec Polaków szlązkich. W tem tkwi jądro całej sprawy, które „Germania“ starannie omija.“

Zapatrujemy się na sprawę powyższą inaczej niż „Dziennik Poznański“ o tyle, że sądzimy, iż przy obecnym stanie rzeczy udział Polaków na wiecu jest wogóle zbyteczny. Żadna noga polska nie powinna postać na wiecu, skoro na własnem naszem terytoryum chcą nas uważać za przybyszów. Może się kiedy doczekamy *wieca polskich katolików na Górnym Szlązku.* To byłoby najstosowniejsze i najlepsze. Potrafimy radzić sami o sobie.

W obozie hakatystów panuje wielki smutek. W miasteczku Witkowie założono niedawno za staraniem komisyi kolonizacyjnej handel niemiecki, jako *antidotum* przeciw „agitacyi“ polskiej. Ku wielkiemu zmartwieniu germanizatorów właściciel tego handlu poszukuje za pośrednictwem pism polskich polskiego pomocnika, który włada dobrze językiem polskim. Proszę wyobrazić sobie oburzenie pism niemieckich! Ale na tem nie koniec. Trzej właściciele dóbr ziemskich, Niemcy, z których jeden jest członkiem komisyi kolonizacyjnej, a inny landratem — zamieszczają w tygodnikach urzędowych ogłoszenia polskie, że mają siano na sprzedaż. Za tę zbrodnię **„Deutsche Zeitung“** stawia ich pod pręgierz i pisze:

„Panowie! wy powinniście być filarami niemczyzny, a czynicie takie ustępstwa Polakom! Czy wobec tego można dziwić się drobnym rzemieślnikom i kupcom, iż ze względów pieniężnych zapierają się niemczyzny i uprzedzając roszczenia polskie, wywieszają polskie napisy, zwabiają nabywców polskich i t. d.“

W **„Gazecie Gdańskiej“** znajdujemy następującą wzmiankę:

„Z Kościerskiego. Rodacy! Ratujcie kawał pięknej polskiej ziemi! W Małym Podlesiu, blizko Kościerzyny, ślicznie pod lasem położony, na sprzedaż jest majątek, 250 morgów pięknej ziemi, z najlepszem żniwem, obejmujący w sobie około 50 morgów łąk torfowych. Kolonizacya wszelkiemi siłami dobija się tego majątku, bo jej dla zaokrąglenia i dla torfu koniecznie potrzebny — inaczej nabyty już Wielki Podleś traci na wartości. Właściciel tego majątku dla działów familijnych i innych powodów koniecznie zaraz ten majątek chce sprzedać za 52,000 marek z inwentarzem.

„Rodacy! nie dajcie tego kawała ziemi w obce ręce — i zgłoście się po adres do „Gazety Gdańskiej“. *B. M.*

NA DOBIE.

Szanowna Redakcyo!

„Slusarz zawinił a kowala powieszono“ — ta oto stara, ale wypróbowana sentencya polska nasuwa mi się na myśl wobec artykułu pewnego pisma w sprawie sprowadzenia zwłok wieszcza naszego, Juliusza Słowackiego, do kraju. Gdy oto komitet, mający się zająć sprowadzeniem zwłok tych drogich każdemu Polakowi, rozpisał odezwę do ogółu, powtórzoną we wszystkich pismach ludowych — polskich, jedynie *„Dziennik Kuj.“* wystąpił na widownię ze zdaniem: *nie sprowadzać zwłok Słowackiego, bo... w Galicyi są na porządku dziennym malwersacye!* Więc dla tego, że w Galicyi kradli, oszukiwali, podrabiali weksle i fałszowali książki — zwłoki wieszcza nie mają spocząć na rodzinnej ziemi! Zdumiewałem się, czytając podobne zdanie w piśmie, które chętnie i często czytuję, a które zawsze stara się iść miarową drogą pośrodku. (O ile nam wiadomo, redaktor naczelny pisma tego bawił na wakacyach, ztąd więc zapewne ów *lapsus.* Przyp. Red. „Pracy“).

Nasz Słowacki, jak się zdaje, ze zbankrutowanymi finansistami nic nie miał nigdy wspólnego, więc pojąć nie mogę logiki owego dziwnego artykułu, który mnie do głębi poruszył, będąc jawnym przykładem, jak my Polacy często niestety przeszkadzamy sobie nawzajem w przeprowadzeniu najzacniejszej pracy. Chcąc wytłomaczyć sobie tę zagadkę, sądziłem, że może to ci sami ludzie właśnie, którzy na Galicyę tyle sprowadzili hańby, ośmielili siebie narzucać społeczeństwu na inicyatorów tego dzieła, które nazwać można obowiązkiem narodowym, ale gdzie tam! odezwa komitetu (ogłoszona i w „Pracy“) wyszła z zupełnie innych sfer, od ludzi, którzy — niestety tak nieliczni — cieszą się w Galicyi opinią nieposzlakowaną, przeważnie od literatów, a więc osób, których, jak wiadomo, nikt nigdy jak świat światem o spekulacye finansowe posądzać nie może...

Więc między innymi jest w komitecie p. Bartoszewicz, który to swem śmiałem wystąpieniem zdołał obudzić z uśpienia sprawę pomnika Mickiewicza w Krakowie, a gdyby nie on, możeby już dawno roztrwoniono pieniądze.

Nie biorę za złe takiemu np. *„Czasowi“* w Krakowie, bo ten wie przynajmniej, dla czego chce zdusić szlachetną myśl sprowadzenia zwłok Słowackiego do kraju: bo „Czasowi“, jak i innym jemu podobnym pismom jest Słowacki, jako poeta-demokrata, jako duch niezależny, walczący z przesądami społecznemi poprostu wstrętny! — ale dla czego pismo nasze i to tak zacne dało się skusić do oddawania Stańczykom usług, tego nie pojmuję.

Z największą przyjemnością zauważyłem też, że *„Dziennik Poznański“* postąpił nader taktownie, nietylko umieściwszy odezwę, ale i ogłaszając, że przyjmuje składki. Sądzę, że nasza *„Praca“*, ku której zawsze z ufnością spoglądamy, ogłoszenia listu tego nie odmówi i do składek zachęci.

Z poważaniem *A. D.*

Sądziliśmy, iż od omówienia owego artykułu, który jak słyszymy, bardzo przykre zrobił wrażenie, uchylić się nam nie było wolno. Szan. korespondent wybaczy, żeśmy niejedno ostre miejsce z listu jego usunęli. Nikt nie jest bez błędu, — więc i najlepszym pismom zdarzyć się mogą mimowolne zboczenia z wytkniętej drogi.

Składki na rzecz sprowadzenia zwłok Słowackiego do kraju gotowi jesteśmy przyjmować. Red. „Pracy“.

* * *

Kochaj mowę ojczystą!

Minęły czasy złotej naszej wolności, minęły świetne czasy Piastów i Jagiellonów — minęły, choć może kiedyś pod inną postacią odżyją. Była chwila, iż Polska dorównywała wszystkim innym mocarstwom Europy, chwila, w której sztandarem swym ze srebrnopiórym Orłem zbratanym z Pogonią postrach budziła w nieprzyjaciołach swoich. — Dzisiaj inaczej niestety. — Ani „Konstytucya 3-go maja“, ani tyle krwi przelanej, przez ojców i braci naszych, którzy z zaparciem się siebie, zapomniawszy o wszystkiem, nadstawiali pierś nieprzyjacielskim bagnetom, chcąc jedynie tylko tego, co im ich obowiązek, obowiązek prawych synów ojczyzny nakazywał — ani tyloletnia praca i gorliwa działalność wielkich mężów naszego narodu, nie wróciła nam tego, cośmy przez grzechy własne i winy ojców naszych postradali.

Nie ma dzisiaj Polski ukochanej takiej, jak ongi — nie ma wolnej, niepodległej Sarmacyi!

A jednak, choć spętane skrzydła białego Orła, choć tylu rodaków i braci przemoc zgnębić zdołała, żyje naród polski i żyć będzie, dopóki w piersi polskiej nie zamrze ostatnie tchnienie.

Czem więc i jak żyje naród polski?

Żyć może i żyć musi nietylko pracą powszednią, ale i miłością świetnej przeszłości swojej, miłością pięknej literatury swojej, *miłością ojczystej swojej mowy.*

Co znaczy żyć miłością przeszłości, miłością literatury i języka ojczystego?

To znaczy znać dzieje przeszłości swojej, znać dzieła swojej literatury, znać ojczystą swoją mowę.

Nic dziwnego, iż wielu Polaków, pozostałych pod zaborem niemieckim, kazi swoją mowę ojczystą używaniem germanizmów. Cóż powodem tego? Otóż przedewszystkiem ustrój szkół, w których każdego uczą po niemiecku, bez względu na ducha języka polskiego, zupełnie odmienny; powtóre: społeczeństwo polskie pozostając pod bezpośrednim wpływem niemczyzny, musi ulegać jej wpływom.

Towarzystwo przemysłowców polskich w Lipsku, widząc tę plagę, która coraz to większą staje się zakałą dla polskiego społeczeństwa, podniosło myśl ofiarowania 30 mk. na wydanie broszurki p. t. „O kaleczeniu języka polskiego germanizmami“ (nr. 46 „Pracy“ z r. 1898), wzywając inne Towarzysta, aby dołożyły choćby małą cegiełkę tylko do położonego już fundamentu. Na jednem z następnych posiedzeń podniesiono powtórnie tę kwestyę i wielu członków było tego zdania, iż w tym wypadku broszurka nie wiele pomoże i że przedewszystkiem potrzeba trochę „dobrej woli“.

W imieniu tedy Towarzystwa Przemysłowców Polskich w Lipsku zwracam się do Szanownych Czytelników, zachęcając ich, aby wskazywali innym drogę do poznania swojej mowy. My którzy dzisiaj nie mamy swojego kraju własnego, nie mamy swojego samorządu i jak tułacze żyć musimy, zachowajmy więc choć to, czego nam dotąd jeszcze przemoc złowroga wydrzeć nie zdołała. Piastujmy wśród siebie tę przecudną mowę naszą, starajmy się poznać jej piękności, które w księgach swych na własność całego narodu przekazali nam wielcy nasi poeci, starajmy się ją nieskalaną i czystą przekazać potomności.

To jedyna spuścizaa nasza, kochać i czcić ją jest świętym obowiązkiem potomnych! *H. S.*

Korespondencye „Pracy“.

Inowrocław, 6-go Sierpnia 1899 r.

Kujawy, — Inowrocław! — hej! jak one słodko brzmią dla każdego bez wyjątku, kto się do tych, którzy na tej kochanej glebie światło Boże ujrzeli, zalicza. Ileż to westchnień, miłych wspomnień, wzbudza w piersiach tych, co losem, lub niezawisłemi okolicznościami, rzuceni są — w dal, za kochanem gniazdem. Sam tego doznałem będąc między „Pomrami“ czas dłuższy i nie wątpię, że każdy bez różnicy, prawy Kujawiak więcej odczuwa żalu za utratą drogich Kujaw.

W rzeczy samej nie ma tak, na pozór, za czem tęsknić, bo Inowrocław, mimo swego gorączkowego ruchu — dwóch przednich gałęzi: handlu i przemysłu, których daty istnienia niezbyt dalekiej sięgają przeszłości, — nie imponuje swym zewnętrznym wyglądem — a obcy nawet ignorują jego, z powijaków wychodzące urządzenie, — lecz dla nas Kujawian, z krwi i kości, ma on swój urok, a nierównie i wspaniałą przeszłość; bo wierzymy, że tylko wytrwałą pracą, jak ongi geniusz wojowniczy króla Łokietka, promienna gwiazda przeszłości Kujaw, tu, nabrał *siły i odwagi* do rozpraw z chlubą dla całego kraju wspaniałych, i my wierni potomkowie jego, na wzór rzędnej i *wytrwałej pracy* „króla chłopków“ *temi natchnieniami* powodowani czerpać będziemy dalsze a wytrwałe siły, ku rozwojowi i podniesieniu miasta z jednej a dobrobytu ogólnego z drugiej strony. Może niema dzielnicy w pruskim zaborze gdzieby wszystkie stany, wsi i miast, jak właśnie Kujawy tyle okazywały gotowości i odwagi cywilnej do wszystkiego co w pracy organicznej ma *wskazane* znaczenie.

Mówiąc o mieście samem rzetelną prawdę, nie może ono rywalizować, pod względem położenia, z lepiej uposażonemi z łaski przyrody — miastami; do dzisiaj dnia chroma ono na brak: odpowiedniej ilości zieleni, ogrodów, stosowniejszego rozkładu ulic, a w końcu uregulowanego dopływu wody; to są kardynalne i nieodzowne czynniki wpływające bardzo na racyonalny, stosunkowo do świetnych warunków przemysłu i handlu, — rozwój miasta.

W celu lepszego, równoległego uregulowania ulic ileż to już wydano i wydać przyjdzie, gdyż właściciele domów, w poprzek idących, muszą być odpowiednio wynagrodzeni. Dotychczas zrównano trzy ulice: Wałową na linii ulicy św. Ducha do Rynkowej, i Kramarską przez Kasztelańską ku Szymborskiej, a wkońcu ulicę Panny Maryi; to jest dopiero początek, gdzie się tylko obrócić, wszędzie te same przeszkody.

Ależ to już wszystko pominąwszy, miasto się swoją drogą rozwija — chociaż nie normalnie. Rok po roku — a każdy dla Inowrocławia stanowi pewną epokę, coś przynosi. Kto wspomni sobie przed 28-miu laty, kiedy to założony został zakład solankowy, jak ta cała dzielnica miasta, w porównaniu z obecnym stanem rzeczy — stanowi rażący kontrast. Wprawdzie upłynęło już 28 lat, ale obok tego przyznać trzeba, zaszły wprost racyonalne zmiany. Z zakładem tym rozpoczyna się właściwie era tej dzielnicy a najwyraźniejsze ślady postępu znamionują ulicę *Solankową.* Przyzna każdy, kto tę dzielnicę miał szczęście oglądać, że to iście ozdoba Inowrocławia. One przepyszne wille, na wzór wielkomiejskich, sprawiają na obcych wrażenie *wielkiego miasta,* — nie jak na Inowrocław. Solanki, mianowicie park, nie zostawia nic, nawet dla wybrednych kuracyuszy, do życzenia; pięknie jest bowiem hodowany; znak, że po mistrzowsku swój zawód prowadzi zdolny kierownik; jest nim p. B. To też nie dziw, że park solankowy zaludnia, przy stałej pogodzie, literalnie mieszczaństwo, pod względem narodowościowym, w równym stopniu. Rojno i gwarno jest tu w niedzielę mianowicie i święta; przy dźwiękach orkiestry, (koncerta odbywają się bezpłatnie dwa razy tygodniowo), wszystko, co się znajduje, żyje niejako w nowej atmosferze! Młodzież buja, flirtują inni, starzy gwarzą przy szklanicy! —

Inowrocław, może sam jeden stanowi wyjątek w całem W. Księztwie Poznańskiem pod względem szybkiego wzrostu mieszkańców, tudzież zabudowań, a jak statystyczne dane stwierdzają, przeszło z górą od 3 lat, do owego czasu pod tym względem prym trzymającemu Gnieznu, odebrał pierwszeństwo. Od 1-go października dostajemy nową załogę artyleryi polnej, której koszary już na ukończeniu, a dzielnica wschodnia, gdzie się one wznoszą, bezwarunkowo znacznie się podniesie.

Jak powiedziałem, rok każdy coś przynosi. Otóż przy ruinach P. M. kościoła istnieje od dwóch lat wspaniały, widny od samego początku ulicy Toruńskiej, — od hotelu Basta — posąg kolosalnej wielkości — naszego apostoła, św. Wojciecha. Posąg ten, dzięki ofiarności parafian z jednej, a wytrwałej pracy inicyatorów z drugiej strony stanął i im to zawdzięczamy. Miasto i na zewnątrz przybiera szersze zmiany; powstają, jak po wiosennym deszczu grzyby, co rok to nowe ulice; i tak do najnowszych zaliczyć można: przez ogród proboszczowski, wzdłuż pola, ku Cmentarnej na kolejową. Na tej to ulicy wprost na przeciwległej dzielnicy miasta od istniejącego kościoła, wznosi się, pod kierownictwem budowniczego, p. Przyłuskiego, nowa, okazała świątynia Pańska, sięgająca już niemal dachu. Będzie to kościół, jak żaden inny obok obydwóch katedr w Księztwie. Jednem słowem kolosalna budowa, mogąca pomieścić ludzi co najmniej tyle, co istniejący kościół św. Mikołaja.

Celem podniesienia miasta podejmują starania tak koła miarodawcze jak prywatne, wpływowe, każde w swoim kierunku — i tak powstają już to nowe promenady, już to inne — ulepszenia; powiększają aleje, dotychczasowe upiększają; nie darmo dostaliśmy na miejsce gazu, światło elektryczne, — przerabiają bruki ulic, poprawiają chodniki, — w pertraktacyi kolej miejska elektryczna, a na ostatku wznosi się, z gruzów, od dwóch lat spalony dom lecznicy, (Kurhaus) na Nowym Swiecie, łączący się bezpośrednio pysznemi alejami z parkiem solankowym. Miano zamiar z gruzów urządzić — w miejsce lecznicy — szkołę gospodarczą w jednej części, a w drugiej restauracyę prywatną, lecz wskutek odmownej odpowiedzi wydziału krajowego, od zamiaru odstąpiono. Co rzeczywiście powstanie, czyli urządzone będzie, z jakiemi zmianami oddany będzie ten gmach nowy, okaże przyszłość.

Co do frekwencyi odwiedzających solanki tutejsze kuracyuszy, to sprawa ta nie przedstawia się tak jak by sobie tego interesenci życzyli. Liczba gości zwykle zbyt nizka a nieodwołalnym hamulcem, wstrzymywania się gości od solanek naszych, jest zbyt małe zainteresowanie się całym zakładem leczniczym. — Szczupłość parku również wiele znaczy, a bezpośredni związek kolei żelaznej nie wpływa dodatnio na spokój kuracyuszy.

Od lat kilku dano wyraz ogólnej potrzebie, dającej się przy wzrastającej ludności doraźnie odczuć, — zakładając miejscowe czasopismo, na wzór niemieckich współobywateli, którzy się od wielu lat na krok ten zdobyli. Niestety! przyszły czasy K. H. T. a wspólna, ręka w rękę praca należy do wspomnień. Walkę i nienawiść szerzy ta siostrzyca po piórze naszego organu, z którą ciężkie zapasy staczać mu przychodzi. Założycielem, jak wiecie, gazetki tutejszej był zasłużony na polu prac narodowych p. J. Chociszewski, a błogie skutki jego działalności w właściwym sobie kierunku, były aż nadto jawne. Cieszyliśmy się wszyscy, którzyśmy go poznali bliżej, widząc w kole naszym tak zasłużonego męża, lecz nie długo... musiał ustąpić, z nieznanych dla ogółu powodów...

W dzień odpustu św. Anny mieliśmy tu wielki napływ pobożnych z najodleglejszych okolic, a co najważniejsza: nie zauważyłem, mimo przypływu, żadnego nadmiaru w dniu tym w używaniu alkoholu. Lud zachował się poważnie i godnie, co z radością zaznaczyć trzeba.

Ciężkiego doświadczenia doznał tu ks. prof. Kurzawski, przez utratę kochanej matki. Pogrzeb odbył się w przeszły (2. 8.) piątek, przy współudziale 20 księży okolicznych i licznych reprezentantów wszystkich stanów i narodowości. Przemowę pogrzebową wygłosił ks. proboszcz, któremu za serdeczne słowa podziękował osierocony syn.

Radolw.

Z Górnego Slązka, w sierpniu.

Choć to w porze obecnej człowiek nie ma pono lekkiej ręki do pióra, jednak nie mogę się powstrzymać od tego, aby paru słów nie skreślić dla „Pracy“ w odpowiedzi na artykuł, jaki znalazłem w wychodzącej w Katowicach „Gazecie katolickiej.“

Wiadomo wszystkim, kto tylko czas jakiś, choćby krótko, bawi na Slązku, czem jest wśród polskich gazet na Gór. Slązku „*Gazeta katolicka*“. Jest to pismo, wydawane przez tych, komu zależy na utrzymaniu ludu polskiego na Slązku w szponach centrowego niemieckiego stronnictwa. Dla tego też jej solą w oku jest powodzenie tych uczciwych i całem sercem *polskiej* sprawie oddanych gazet, jak n. p. „Dziennik Slązki“ i „Katolik“ i innych. Nic też dziwnego, że niejeden numer „*Pracy*“, która śmiało pisze prawdę o centrowcach i lud polski zachęca do oglądania się tylko na własne siły, wywołuje w „*Gazecie katolickiej*“ gniewy — ale jak potoku rwącego nikt nie powstrzyma nędzną tamą z chrustu i piasku, tak też i usamowolnienia politycznego ludu na Górnym Slązku nic nie powstrzyma. Za to jednak mścić się chce gazeta centrowców, wydawana w polskim języku, na „Pracy“, bo „Praca“ coraz więcej abonentów zyskuje na Slązku i zyskiwać będzie. Niedawno temu ogłosiła ta gazeta artykuł, w którym *wbrew twierdzeniu* „*Pracy*“ chce dowieść, że lud górnoślązki jest duszą oddany swym posłom, więc niepotrzebnem jest nawoływanie „Pracy“, aby ten lud wybierał swoich. Miły Boże, to mi dopiero serdeczne przywiązanie było, z jakiem szedł lud polski do urny wyborczej, aby wybierać takiego n. p. Ballestrema! Chyba to takim można coś podobnego mówić, kto nie zna i nie czytuje innych gazet.

Najciekawsze jest to, że ta gazeta z równą zajadłością rzuca się na inne tak *zacne* pisma polskie, jak „*Dziennik Kujawski*“, „*Wielkopolanin*“, „*Goniec Wielkopolski*“ i inne.

Dla tego też nikt tu u nas nie nazywa tej gazety inaczej jak tylko *pruską* w odróżnieniu od gazet polskich, szczerze polskich i katolickich. Niech gazeta się w porę opamięta, bo przyjdzie i wkrótce może czas, że lud górnoślązki i ją i jej Ballestremów wraz ze wszystkimi jemu podobnymi „przyjaciołmi Polaków“ odsadzi od mandatów poselskich jak kota od mleka, a powierzy je w ręce szczerze polskie, choćby jakiego włościanina lub kupca. Co daj Boże!

Pozdrawiam serdecznie wszystkich Czytelników „*Pracy*“.

Taki, co na Ballestrema głosu nie dał i co czytuje „Gazetę katolicką“ tylko po to, aby przestrzedz przed nią innych.

Soboty (Zoppot), 5-go sierpnia.

Kto potrzebuje siły wątłej dziatwy morskiem powietrzem pokrzepić i słabe fundamenty zdrowia i życia młodszego pokolenia wzmocnić, ten — nie ma wyboru. Blizkość, wyborna komunikacya, doskonałe dla dzieci warunki zdrowotne wskazują Soboty jako jedyną najodpowiedniejszą w tym razie ucieczkę. Z konieczności tedy trzeba kazać zamilknąć na chwilę chowanym w duszy antypatyom na korzyść tych, co sercu stoją najbliżej.

Nie dziwcie się zatem i nie narzekajcie, że Soboty roją się od Polaków, że w Kurhauzie, na pomoście, w czytelni, nad morzem, w parkach, słowem wszędzie język polski rozbrzmiewa na równi prawie z niemieckim, że dzieci nasze sypią wytrwale nad Bałtykiem kopce z piasku, które im północne fale zabierają...

Okolice Sobót zamieszkane są przeważnie przez Kaszubów, którzy są głównymi dostawcami produktów surowych na targi tutejsze; oni więc lwią część zysków zabiorą, byleby tylko panie nasze nie ulegały pokusie ogłoszeń, któremi zarzucają gości tutejszych właściciele przeróżnych magazynów tandety gdańskie; byleby nie zostawiały znaczniejszych sum za liche sprawunki, robione u skonwertowanych Prusaków, którzy, nosząc nazwiska polskie, jednego słowa po polsku przemówić już nie potrafią i dziwią się, gdy ktoś ośmieli się posądzić ich o należenie do narodowości polskiej.

Kto stosunków z podobnymi renegatami uniknąć zdoła i na lep pozornej taniości wziąść się nie pozwoli, ten, przybywając na kuracyę do Sobót, może być w sumieniu swojem zupełnie spokojny, zwłaszcza, jeżeli, prowadząc gospodarstwo u siebie, otoczy się polską służbą i polskimi dostawcami lub jeżeli umieści się w jednym z dwóch tutejszych czysto polskich pensyonatów: pp. Deichslów albo p. Kulerskiego. Prowadząc własne gospodarstwo, można urządzić się znacznie taniej, a przytem dogodzić swoim gustom i przyzwyczajeniom, zwłaszcza, że pomyślano w Sobotach o różnych udogodnieniach: mieszkania wynajmować można z całem urządzeniem gospodarskiem, ze wszystkiemi sprzętami kuchennemi i stołowemi; o dobre produkty bardzo łatwo, wiele z nich dostawcy rozwożą po domach, a wobec dużej konkurencji muszą je sprzedawać po cenach niezbyt wygórowanych. Słowem, kto nie lęka się kłopotów gospodarskich, może, opłaciwszy mieszkanie, kurtaksę i koszta

kuracji, wydawać zresztą na utrzymanie w Sobotach tyle co w domu.

Przyznać trzeba, że w ciągu ostatnich lat trzech w Sobotach duże zaszły zmiany.

Na dobro administracji miejcowej zapisać należy przedewszystkiem zaprowadzoną kosztem pół miliona marek kanalizację. Jest to reforma niezmiernie ważna, gdyż brak dobrego powietrza i wody w mieszkaniach bardzo dotkliwie przed trzema laty odczuwać się dawał, psując dobroczynne skutki kuracji morskiej. — Prócz tego zaprowadzono oświetlenie elektryczne na głównych ulicach, zbudowano wiele nowych domów, pomnożono liczbę restauracji, a wszystkie niemal pierwszorzędne magazyny gdańskie mają już tu swoje filje.

Przy pomoście kurhauzu mnóstwo łodzi żaglowych i wiosłowych stoi do rozporządzenia gości, a gdy pogoda sprzyja uwijają się po szafirowych wodach zatoki, śliczne, wieczorami zwłaszcza, tworząc obrazki.

Odwrotną stronę medalu stanowią ciągłe i niebezowocne usiłowania administracji miejscowej co do zupełnego sprusaczenia Sobót. Daje się to spostrzegać na każdym kroku. Przed trzema laty na bardzo wielu składach widniały napisy: „Usługa polska“ i prawie wszędzie mówiono istotnie po polsku; dziś napisy poznikały, a składy, w którychby się można było rozmówić innym, prócz niemieckiego, językiem, należą do rzadkich wyjątków. Przed trzema laty czytelnia w kurhauzie miała różne interesujące pisma miejscowe i zagraniczne; dziś gazet jest dużo, więcej bodaj niż potrzeba, bo z górą sto; lecz po większej części są to tylko różnego rodzaju pruskie i niemieckie prowincjonalne „blatty“, „zeitungi“, „anzeigery“ i „kurlisty“. Francuzkiego ani angielskiego pisma niema żadnego. Dziennik wiedeński widziałem jeden. Pism polskich jest sporo, ale traktowane są po macoszemu. W spisie gazet, wywieszonym na ścianie, ze szczególną pieczołowitością wyliczono sto kilkanaście dzienniczków niemieckich, a pism polskich tylko cztery.

Goście polscy traktowani są też nieraz przez administrację z wyróżniającą... niegrzecznością, miarkowaną tylko poniekąd względami na własny interes. Jak daleko sięga pruski szowinizm i nienawiść do wszystkiego co polskie, poświadczy drobny fakt następujący: Przed kilku dniami p. Kulerski zorganizował wycieczkę polską statkiem parowym do leżącej nad brzegiem zatoki, o milę od Zopot, wsi kaszubskiej Oksywia. Gdy już statek miał odbić od brzegu, jakiś Niemiec, zainteresowany snadź znajdującem się na pokładzie towarzystwem, zapytał obsługującego ów statek człowieka, co to za towarzystwo urządza wycieczkę. Zainterpelowany Prusak kręcił się jak w ukropie i, nie mogąc żadną miarą wykrztusić przymiotnika „polskie“, zdobył się w końcu na taką odpowiedź: „Na! ja, das ist eine katholische (!!) Gesellschaft“.

Obecny tej rozmowie ksiądz katolicki zawołał z oburzeniem: „Katholische! A to sz....prusak nie może przełknąć wyrazu polskie!“

Jest to drobny fakcik, którego byłem świadkiem. Ale — jak mnie tu zapewniają — podobne i stokroć gorsze zdarzają się bardzo często. Są to dojrzewające owoce ciągle wzmagających się prześladowań żywiołu słowiańskiego i roznıecania plemiennej nienawiści przez administracyę pruską. Na szczęście, prześladowania — jak wszelka walka z naturalnemi prawami człowieka — prowadzą do wprost przeciwnych zamierzonemu celowi wyników i wzmacniają tylko odporność na tutejszych kresach słowiańskich. Niedawno np. p. landrat w Pucku, zamieszkanym wyłącznie przez ludność kaszubską, zabronił sprzedaży w tem miasteczku książek do nabożeństwa w języku polskim. Otóż zakaz ten miał taki skutek, że dziś Kaszubi pruscy kupują daleko więcej książek polskich niż dawniej, z tą tylko różnicą, że zaopatrują się w książki nie w Pucku, lecz w Gdańsku.

K.

Berlin, 7-go sierpnia.

Od kilkunastu lat już toczy się pomiędzy tutejszą kolonią a duchowieństwem niemieckiem cicha, ale zacięta walka o nabożeństwa i kazania polskie. Polacy stanowią prawie połowę ludności katolickiej w Berlinie i okolicy, składają się na budowę kościołów, zbierają nawet w tym celu składki w kraju, i domagają się nawzajem, aby uwzględniano ich język w kościele. Duchowieństwo niemieckie korzysta chętnie z ich pomocy tak w sprawach kościelnych, jak i wyborczych, ale w ogólności sprzeciwia się zaprowadzeniu kazań i nabożeństw polskich. Nabożeństwa polskie odbywają się stale tylko w dwóch kościołach, na Moabicie i w kaplicy św. Piusa przy Pallissadenstr., a wyjątkowo w katedrze św. Jadwigi i w kościołach na północy miasta. Ztąd też dwa wymienione wyżej kościoły nie mogą pomieścić wiernych, inne zaś świecą często pustkami. Przed kilku miesiącami, kierownicy kolonii, na mocy uchwały walnego zebrania, wysłali do ks. kardynała Kopp'a bezpośrednio prośbę o pomnożenie kazań polskich. Odpowiedzi nie było. Kiedy jednak postanowiono ponowić prośbę, a w danym razie odwołać się z prośbą do Stolicy Apostolskiej, zastępca kardynała, delegat arcybiskupi dla Berlina, ks. Neuber, zaprosił do siebie członków komisyi, zajmującej się tą sprawą, i oświadczył, że dla braku księży polskich życzeń kolonii chwilowo uwzględnić niepodobna. Delegat arcybiskupi wyraził swoje zdziwienie, że Polacy, którzy w życiu powszednıem posługują się językiem niemieckim, domagają się, aby uwzględniano ich język w kościele. Na odpowiedź, że katolicy-Polacy chcą zachować swoją narodowość i dlatego w domu mówią tylko po polsku, wychowują w tym języku dzieci i pragną też modlić się w swoim języku, a wreszcie mają prawo żądać, aby uwzględniano ich życzenia, ks. Neuber przyrzekł im z kwaśną miną swoje poparcie, ale radził zaczekać z wysłaniem ponownej prośby do ks. kardynała Kopp'a i Ojca św. Od czasu jak ks. Wawrzyniak, znany patron Spółek zarobkowych poznańskich, zrzekł się mandatu do sejmu pruskiego, aby działać tem gorliwiej w kraju, widoki katolików Polaków w Berlinie pogorszyły się znacznie.

Niechęć duchowieństwa niemieckiego do Polaków odbija się bardzo smutno na moralnych stosunkach kolonii polskiej. Wobec braku nabożeństw polskich i opieki duchownej, coraz większa liczba obojętnieje zupełnie dla spraw religijnych a równocześnie zapomina o swem pochodzeniu.

W. W.

MORSKIE OKO.(*)

Legenda górali polskich w Tatrach.

Szczytem sięgają w niebios lazury,
Królując nad okolicą,
Przepiękne Tatry — te polskie góry,
Hen! nad węgierską granicą!

Tam, kiedy siędziesz na stromej skale,
Przy pięknym górskim potoku,
Baśń ci wysnują nasi górale,
Baśń smutną, o morskiem oku.

. . . .

. . . .

Było inaczej, niegdyś przed laty,
Gdzie teraz turnie i skały,
Kraj był tu gładki, w zboże bogaty
I piękne zamki tu stały...

Gdzie biegną dzisiaj potoków piany,
Na Oka Morskiego wody,
Żył szlachcic hardy, Morskim przezwany,
Miał córkę, cudo-urody.

Pokochał pannę z Węgier, pan młody,
Zdobny książęcą koroną,
Lecz Morski rzekł mu: „Precz te zawody, —
Swojaka musi być żoną!“

Poszedł na wojnę Morski i bawił
Hen z królem długo i długo,
A córkę w zamku samą zostawił,
Z dworzany tylko i sługą.

Wnet przyszedł Węgrzyn, odziany zbroją,
Rzekł córce: „Niech się nie smuci
Serce twe zacne, bądź żoną moją,
Twój ojciec zginął — nie wróci.“

Po smutku wkrótce nastały gody,
Pałac z korali wzniesiono,
A, choć to było bez ojca zgody,
Została obcego żoną...

Mieszkali sobie w zamku z korali,
Było sług wiele, dostatek,
Czule oboje się pokochali
I mieli siedmioro dziatek.

Lecz wnet wieść nowa, jak piorun padła,
Że Morski z wojny powrócił;
Nieszczęsna żona ze strachu zbladła,
Książę się przeląkł, zasmucił.

Tak wrócił Morski; tupnął a plunął,
Krzyknął na córkę wybladłą,
Zamek z korali od gniewu runął,
Wszystko się wokół rozpadło.

Przypadła córka ojcu do nogi,
Wiodąc maleńkie wnuczęta,
A on wykrzyknął, w swym gniewie srogi,
„Rozpłyń się we łzach przeklęta!“

I, ledwie wyrzekł straszne wyrazy,
Niezwykłą siłą natury,
Z dobytków, zamku powstały głazy,
Powstały te — Tatry góry...

Książę-mąż, widząc, co się tu działo,
Pacierze jął szeptać z cicha,
Lecz sam się został ogromną skałą,
Co nosi dziś miano — Mnicha.

Dzieciątka małe, co uciekały,
Gdy przyszła zniszczenia pora,
We łzach się czystych porozpływały,
Tworząc tatrzańskie jeziora...

A ona, córka nieusłuchana,
Co chciała męża obcego,
Spłynęła we łzach i dziś jest znana
Pod mianem „Oka Morskiego.“

Wkoło niej stoją wyniosłe góry,
Królują nad okolicą,
Sięgają szczytem w niebios lazury
Hen! nad węgierską granicą!

Taką to smutną bajkę górale
Prawią przy górskim potoku,
A jam ją słuchał, siedząc na skale,
W Tatrach, przy Morskiem Oku!

Władysław Karoli.

*) Taką to dziwną baśń wysnuł lud górali polskich w Tatrach o pochodzeniu tej, jak nazywają „polskiej Szwajcaryi.“ Lud ten, mówiący najczystszą polszczyzną, ubrany biało, posiada wiele poezyi i snuje od wieków mnóstwo baśni. Co mię zastanawia, że lud, mówiący pięknym polskim językiem, bez naleciałości, sam siebie nazywa Polakami, a Polaków ubranych po miejsku — Lachami.

Z ojczystych stron.

XXV.

Wolsztyn.

Miasto Wolsztyn, w kronikach starych nazwane Wolszynem, otrzymało w r. 1458 prawo magdeburskie. Starszem jeszcze miasteczkiem jest teraźniejsza wieś Przement, pomiędzy Wolsztynem a Śmiglem, to bowiem otrzymało przywileje miasta przed rokiem 1408. Kilka innych miast zostało też jeszcze zamienionych na wsie, n. p. Łekno, Kwieciszewo, Żerniki i Wilatowo, a wszystkie powstały w 15 wieku. Gdy w r. 1469 po wielkim pożarze, został Wolsztyn na nowo odbudowanym, orzekł ówczesny właściciel miasta, że prawo magdeburskie będzie istnieć nadal. Częste pożary nawiedzały Wolsztyn, i to w r. 1548, 1611, 1634, 1668, 1669 i 1727. W tym to czasie należały dobra wolsztyńskie do Anny Mielińskiej, która będąc ewangeliczką, wybudowała tuż przed bramą miasta, ewangelicki kościół. W r. 1656 jednak wypędzono ztąd lutrów, którzy wynieśli się do Niemiec. Ale po trzech latach wrócili znowu, a nowy dziedzic miasta, Powadowski, przyrzekł im swoją pomoc i opiekę, i tak czynili wszyscy jego następcy aż do przedostatniego właściciela, Gajewskiego. W r. 1678 musiała gmina luterska po raz pierwszy płacić czynsz, wynoszący sztukę sukna i 40 złp. Niepodobało się to lutrom, to też o pieniądze te nieustanne panowały kłótnie z dworem. W r. 1709 wybuchła w mieście zaraza morowa, której ofiarą padło 1400 ludzi.

Gdy w r. 1729 kupił Wolsztyn Franciszek Gajewski, miało miasto pozwolenie na odbycie 11 jarmarków kramnych i na bydło. Pod koniec przeszłego stulecia były w mieście trzy kościoły, 4 publiczne gmachy, 11 młynów, 105 domów mieszkalnych, z których jeden tylko był masywnym i 1554 mieszkańców. Obecny kościół katolicki zaczął budować w r. 1767 Rafał Gajewski, dziedzic Wolsztyna i kasztelan Rogoziński. Budowa była ukończoną w r. 1779, ale dopiero w r. 1783, dnia 8 Grudnia była w nim odprawioną pierwsza msza św. Poświęconym został jeszcze później, bo 6-go Maja 1787 roku przez poznańskiego sufragana, biskupa Rydzyńskiego. Na miejscu teraźniejszej świątyni, stał pod koniec przeszłego stulecia, mały, stary kościołek, który uważano za należący do kościoła w Koronowie. Nabożeństwo odbywało się raz tu, raz w Koronowie. Ale ponieważ kościołek ten groził zawaleniem się, przeto na rozkaz oficyała Walkowskiego zamknięto go dnia 4-go Grudnia r. 1811. Oprócz tych dwóch, znajdowały się w parafii wolsztyńskiej jeszcze dwa kościoły, i to jeden św. Ducha w Komorowie, drugi św. Mikołaja w poblizkiej wsi, Nelkowie. Kościół św. Ducha, także już stary, został na rozkaz biskupa Teodora Czartoryskiego rozebrany dnia 2 Stycznia, r. 1768. Kościół zaś św. Mikołaja był w dawnych czasach parafialnym, a proboszcze wolsztyńscy bywali zawsze nazwani proboszczami nelkowskimi. Rzecz ta zmieniła się dopiero w przeszłem stuleciu. — W Wolsztynie znajduje się także synagoga, wybudowana w r. 1810, w którym to roku nawiedził miasto wielki pożar, który prócz kościoła ewangelickiego, większej części synagogi i wieży kościoła katolickiego, zniszczył 165 domów. Z ludzi na szczęście nikt życia nie stracił.

W r. 1857 założyła tu pewna Angielka, Mary Pearce, domy sierot ewangelickie i katolickie. Dawniej znajdował się także w Wolsztynie zakład dla niewidomych, później jednak przeniesiono go do Bydgoszczy. Dom, w którym się mieścił, bardzo jest starym i podpada starożytną budową. Oprócz tego są nowe i piękne gmachy: szpital, poczta, ratusz, w którym zarazem mieści się sąd okręgowy. Wspaniały park w Komorowie, tuż przy mieście, jest najpiękniejszą jego ozdobą. Okolice Wolsztyna bardzo są malownicze, liczne jeziora i stary pałac w Komorowie, bardzo zajmujący przedstawiają widok. Rozmaite szosy i kolej drugorzędna ułatwiają komunikacyę z Zbąszyniem i Lesznem, a ruch towarowy jest tutaj rzeczywiście zdumiewającym.

Najważniejszą uroczystością ludową w Wolsztynie jest zabawa bractwa strzeleckiego. Bractwo to należy do najstarszych, a może jest najstarszem w całem Księztwie Poznańskiem. Posiada własną kronikę, z której podajemy kilka najważniejszych ustępów. Jest tam więc dokument założenia tegoż bractwa, spisany na pergaminie, po łacinie i wydany w Warszawie, przez króla Michała Wiśniowieckiego, dnia 7 lutego r. 1671. Dokument ten brzmi mniej więcej jak następuje: „My, Michał, z łaski Bożej król Polski, Wielki Książe Litwy, Rusi, Prus, Mazowsza, Samogicyi, Liwonii, Kujaw, Wołynia, Smoleńska i Czernigów, dajemy znać niniejszem pismem wszystkim razem i każdemu z osobna, kto o tem wiedzieć musi, jako uważamy, że szczęście panującego i honor jego polega na tem, że posiada nietylko kwitnące i zaludnione miasta i osady, ale że mieszkańcy tychże miast są biegli w takich sztukach, które w czasie wojny służą do obrony kraju, a w czasie pokoju do rozrywki i ozdoby życia. Do takich należy umiejętność strzelania, bo tem można odeprzeć napady nieprzyjaciół i strzedz własności obywateli. Więc uważamy za słuszne i sprawiedliwe okazać takiemu bractwu naszą królewską łaskę i pragniemy, aby się to bractwo wzmocniło i kwitło. Obdarzamy je szczególniejszemi przywilejami i prawami, mianowicie, że prosi nas o to wysoko urodzony i wielce możny dziedzic Piotr Powadowski. Pozwalamy mu założyć to bractwo i t. d. i t. d.. Dokument ten podpisujemy własnoręcznie i każemy przyłożyć nań pieczęć koronną. Dano w Warszawie, 7 lutego r. 1671 w drugim (trzecim) roku naszego panowania. Michał, król. (L. S.)

„Potwierdzenie. Bractwo Strzeleckie w Wolsztynie może być założonem.“ Kaźmierz Niegolewski, Maciej z Niegolewa Niegolewski, Chorąży wschowski, starosta sobiedzki, mp. Stefan Hankiewicz, sekretarz króla Jegomości. Łukasz Torajski, Podczaszy.“

Że opłaciło się wówczas zostać królem kurkowym, tego dowodzi § 7 najstarszych przepisów strzeleckich, tyczący przywilei króla kurkowego: 1) W tych latach, w których jest królem wolno mu uwarzyć 5 razy piwo i to na św. Michał, na Boże Narodzenie, na Zapusty, na Wielkanoc i na Zielone Świątki za opłaceniem zwykłych czynszów. Potrzebny do tego słód w ilości 120 ćwierci daje dziedzic bezpłatnie i każe szrótować na swój koszt w słodowni w Komorowie. 2) Król kurkowy nie potrzebuje płacić czynszu i jest wolnym od straży i kosztów transportu w razie wojny, a w domu jego nie będą mieszkać żołnierze. Za to wszystko musi dać członkom bractwa trzy beczułki piwa, w gotówce 7 talarów i 15 srebrników, mięsa za 2 talary, bułek za 2 tal., muzykantom wódki za 2 tal. i 10 srebrników, kupić nową tarczę z gwoździami za 2 tal., pobocznemu królowi 2 talary, tamburowi 1 tal., na mszę św. 26 srebr., członkom bractwa wódki za 25 srebr. i t. d., dosyć że wszystkie wydatki razem wynosiły 29 tal. i 15 srebrników.

W okolicy Wolsztyna znajduje się także sławny historyczny zabytek przeszłości i to przeszło 600-letni klasztor Cystersów w Obrze. W r. 1835 zabrał

go rząd pruski i teraz pozostały ruiny... Klasztór ten został zbudowanym w roku 1231 przez Sandiroga, kanonika gnieźnieńskiego i właściciela Obry. Wyposażył on zakonników, których sprowadził z Lucnonsis (z Wągrówca teraźniejszego) suto, i dał im ziemię, łąki, lasy i młyny wodne nad Obrą i Wojcą. Aż do roku 1327 kupowali zakonnicy wsie okoliczne, które dziś w innych znajdują się rękach... Bogactw, jakie zakonnicy gromadzili, używali na cele miłosierne i kościelne, a dobrobyt wsi, liczącej dziś 1000 mieszkańców, był tak wielkim, że w r. 1650 postarał się ówczesny przeor klasztoru o pozwolenie zamienienia jej na miasto. Bernardowo. Ale śmierć przeszkodziła mu w wykonaniu tego zamiaru. Wojny w r. 1655, 1658 i 1703, później w r. 1709—1716, zniszczyły wieś zupełnie — wszelka kultura Cystersów znikła, a szkody wynosiły 206,556 talarów. Zwolna tylko, dzięki niezmordowanej pracy zakonników, wróciły lepsze stosunki, klasztór został odbudowanym, ale Obra nigdy już dawnej nie odzyskała świetności. Cenna biblioteka rozproszyła się w czasach wojennych i tak przeszło 3000 tomów do Warszawy a 2000 do Berlina.

Zakonnicy zajmowali się też gorliwie naukami i sztukami pięknemi i mieli własną szkołę muzyki. Ogrodnictwo kwitło, a znane wino z Babimostu zawdzięcza początek swój mnichom. Obecnie są tam jeszcze szczątki zakrystyi, kapitularium, refektarza i biblioteki. Ale i wnętrze kościoła posiada niejednę pamiątkę. I tak widać na suficie piękne malatury al fresco, przedstawiające rozmaite rzeczy biblijne, wspaniałe obrazy z łacińskiemi podpisami, trzy piękne ołtarze i trzy pomniki. Dwa przedstawiają dobrodziejów klasztoru, kasztelana poznańskiego, Rafaela Gurowskiego i żonę jego, Ludwikę, serca zaś obojga są w jednej puszce złożone w klasztorze. Trzeci pomnik wystawionym jest ku uczczeniu pamięci ks. Antoniewicza, sławnego go naszego kaznodziei, który umarł w r. 1852 i jest tutaj pochowanym.

Godnym widzenia jest wspaniały, nowo zbudowany pałac w Chorzeninie w stylu odrodzenia i park, oraz zabudowania gospodarskie w Wroniawach. Równie uroczem miejscem jest wysepka na jeziorze wolsztyńskiem, zarosła odwiecznym lasem, ale niezamieszkana.

Obecnie liczy Wolsztyn 3235 mieszkańców.

Kronikarz „Pracy“.

Flisaka opis Wrocławia.

...Ale wám to padám, kumie,
Nikt wystawić se nie umie,
Co wám tez ten Wrocłáw srogi!
Jak mi nasz Racibórz drogi,
Ale mierzyć — mój ty Boze!
Z tym Wrocławiem se nie moze.
Jakem stary, śmiem powiedzieć...
Bo i ktoby tam mógł wiedzieć,
Ze to práwda takie miasto!
Dyć mój mózg to tez nie ciasto,
(Boć mnie w skole dość chwalili,
Chyba ráz na tydzień bili)
Toć wydziwić se nie moga,
Jak ten Wrocłáw wymyślili.
Serse jak opolská droga
Wám tam wszycke są ulice;
Domy same kamienice,
Z tysiąc ich tam pono będzie,
A wszyściutkie w jednym rzędzie.
Jegomości księcia zámek
Przeciw tam-tym lichy domek.
Wierzcie, kumie, co wám padám
Scera prawda, Dziubów Hadám
Wám to samo, co já powie.
Jesce dziś mi sumi w głowie,
No pomyśleć takie dziwy:
Co dom — to zámek prawdziwy,
Drzwi jak wrota do stodoły;
A cóz dopiero kościoły!
Więcej ich jak sto tam będzie,
A w nich kupa księdzów wszędzie;
Jakby w odpust pełno luda,
A muzyka rznie na cuda
W robotny dzień i w niedziela.
Choć to miemce, jednak wiela
Snać o Pana Boga dbają,
Bo i świętych se stawiają
Na rynkach i przed bronami,
I na koniach i z sablami.
Jeden jakiś tez z widłami
Cały nagi stoi w wodzie
I widłami smoka bodzie...
Co tez to za rózni święci!
Ha, a sklepy jak mrowiska!
Do nich cisną se ludziska,
Młodzi, starzy, srodzy, mali
Jakby tam za darmo brali.
Aniby se śniło w głowie,
Co tam mają ci zydkowie,
Bo gdzie-no do sklepu spojrzysz
Wszędzie Icek albo Mojżesz
Z nosem krzywym jak obcęgi
Chwali swoje cięgilęgi,
Których kupę má jak fura.
Ale wej, com tez za rura!
Dyć co najpiękniejsze było,
Pedzieć wám se zabacyło.
Toć to Bartek Kościnoga,
Kopidołów syn z Ostroga,
Co tam słuzy za trenkiera,
(Juz má knefle gifrajtera!)
Ten nas wywiódł dnia jednego
Do ogrodu przepysnego,
Jak to mówią. Mnie se zdało,
Zeby słuszniej należało,
Zwać ten ogród rajem raczej,
Bo i w raju nie inaczej
Swiętym kiedyś wyglądało.
Mniejsa tam o drzewa, kwiatki,
Choć z nich który moze rzadki;
Ale co wám padám, bracie,
Może wiary mi nie dacie:
Otóz, jakie tylko zwierze
Pán Bóg stworzył: latoperze,
Żaby, sowy i króliki,
Słonie, konie i jędyki,
Orły, kawki, i przepiórki,
Wilki, wiewiórki, jascurki,
Ryby, raki, węże, żmije,
Jakie tylko są bestye:
Żółte, białe i czubate,
Pstre i nagie i brodate,
Łyse, kuse, rude, czárne
Zgrabne, żywe i potworne;
Co jeno na lądzie żyje,
I co se pod ziemią kryje
I co pluska w mokrej wodzie,
Wszycko, wszycko w tym ogrodzie...
A to wszycko wej! prawdziwe,
Nie malowane, bo żywe,
Zaś z tych bestyi małpic roje
Najwięcej baczenie moje
A i casu nám zabrały,
Bo szelmy dokazywały
Jak pijane lub szalone,
Opętane czy sparzone:
Młynkiem w koło se kręciły,
Gryzły, biły, swawoliły,
Wyły i krzyczały wściekle,
Że w bożnicy ani w piekle
Nie ma juz większego krzyku.
Ale wám se przyznám, szyku,
Gdym tak po zwierzyńcu chodził
I wokoło okiem wodził
Po niedźwiedziach i tygrysach,
Po wielbłądach i po lisach;
Spojrzał tez na ich obory,
Piękniejse niż chłopskie dwory
Na te klátki malowane
I tabulki pozłacane;
Gdym na sutą spojrzáł strawę;
Mięso, mleko, ziarno, trawę,
Jaką bestye miały w żłobie,
Wtedy pomyślałem sobie
I westchnąłem: Mój ty Panie!
Lepiej niż my chrześcianie,
Lepiej niż twa czeladź święta
Żyją sobie tu zwierzęta.
Nieráz człek o chłodzie, głodzie
Napracuje se przy wodzie,
Prześpi se pod gołem niebem;
Nieráz tylko suchym chlebem
I bez soli głód umorzy —
Choć to práwda tez dar boży! —
Po co tu te bestye siedzą
I próżnując darmo jedzą?
Ale pomyślałem dalej:
Niechaj dmucha, kogo pali!
Wsak mnie, jak było potrzeba,
Jesce nie zabrakło chleba;
A gadzina ta uboga
I bez duszy i bez Boga,
Żyje marnie, ginie marnie!
Ale kiedyś Bóg przygarnie
Nas swe dzieci ráz do siebie,
By nám wynagrodzić w niebie...
Gdyśmy zwierze opuścili,
Juz my im nie zazdrościli.
Widzieliśmy jesce siła,
Tak izby nie wystarczyła
Bycza skóra na ten opis.
Bo dálibóg, drogi kumie,
Kto nie widziáł, nie zrozumie,
Bo jest napatrzeć se cego,
Choć niepomnę już wszyckiego,
Scera práwda, jakem stary
Jak na dziwnem patrzáł cary.
Jednak przyznám wám se, Stachu,
Nie obesło se bez strachu
W tym Wrocławiu. Bo te miemce
Na nas by na cudzoziemce
Jeno z boku zaglądali,
Jak kiebyśmy co porwali,
Szwargotając swą miemcyzną,
Co, jak wám se scerze przyznám,
Najmniej mi se podobało:
Boć to nasi zbudowali
Wrocłáw i tak go nazwali,
A te szelmy go zabrali
I na swój przekabacili,
Przestroili i przechrzcili,
Więc mi se ne podobało.
Ale my se dycki śmiało
Kupą do siebie trzymali,
To nám miemce pokój dali.
Ale to wám jesce padám,
Jak na lato Dziubów Hadám
Zaś se do Wrocławia puści,
To no z nim se raz zabierzcie.
Mojej rady, to mi wierzcie,
Nigdy nie pożałujecie,
A poznacie se na świecie!

Czesław Lubiński.



O Jezusowej Matce.

Cześć dla Najświętszej Maryi Panny głęboko wkorzenia się w krew i obyczaj naszego narodu od czasów najdawniejszych, bodaj czy nie od pierwszego zarania światła wiary Chrystusowej nad Wisłą.

Przy dźwiękach pieśni na cześć Matki Jezusowej rycerstwo polskie za czasów Bolesławowych gromiło zagony niemieckie, a później z Tatarami wodziło tańce. Pieśń świętego Wojciecha „Boga Rodzico Dziewico" przez długie wieki była jedynym hymnem narodowym, brzmiała na polach chwały i w dniach klęski, a wizerunek Jej błyszczał na piersiach rycerzy, na klingach krzywych szabel, ozdabiał komnaty w pałacach magnatów i w ubożuchnych chatach włościańskich, bo oczy i serca całego narodu z wiarą i ufnością zwracały się zawsze ku Królowej Niebios, ku Opiekunce naszej, co z Jasnej Góry płaszczem niebieskim, gwiazdami usianym, okrywała całą ziemię naszą.

I garnął się pod jego osłonę cały lud nasz, jak dobrej a uwielbianej Matce spowiadając się z bólów i radości, z łez i uśmiechów, ze smutku i wesela.

Jak dziatwa z ukochaną a miłującą ją nadewszystko matką, tak i ludek nasz zżył się z Matką Jezusową i to tak dalece, że wyobrażenie o Niej czerpie z własnego bytu i z Jej osobą łączy wiele zjawisk otaczającej go przyrody. Świadczy o tem cały szereg legend, przepełnionych tą niewysłowienie piękną poezyą ludową, co w prostocie swej najcudniejsze czary mieści i nic jej dorównać nie zdoła.

Zachorzał mały Jezusek, troskliwa Jego Mateczka spieszy po leki do miasta poprzez pola szerokie, zbożem porosłe, bo naonczas jeszcze między niemi drogi nie było. Biegnie Najświętsza Panienka bosemi stopami po ściernisku, kalecząc sobie święte stopy i krople krwi po łanach zostawia. Wszędzie, gdzie tylko został ślad krwi Matki Bożej, purpurowe kwiaty wyrosły. Były to znaki, których dawniej nie znano.

Sroga i ciężka zima trapi biednych ludzi. Mróz trzymał tygodniami, śniegiem pola zawiało, że trudno wydostać się z chaty, by nakarmić bydełko lub ptactwo domowe. Biedne wróble tuliły się do zagród ludzkich, szukając pożywienia, lecz odganiano je nielitościwie z obawy, aby dla domowej gadziny nie zabrakło. Użalił się Jezus nad dolą biedaków, wziął miskę kaszy, wyniósł na próg chaty i rzucił garść wróblom. Za chwilę cała gromada ptasząt zebrała się przed wrotami Józefowej zagrody, Jezusek wciąż sypał na śnieg ziarna; zlatywały się całe stada i jadły chciwie, a ziarna nie brakło.

Naprzeciwko w zamożnym domu wisiały kanarki w klatce, które wówczas tak samo były szare, jak i wróble, tylko śpiewały pięknie. Mimo że były dobrze nakarmione, z zawiści podniosły głośną wrzawę i pożółkły z zazdrości.

Wróbelki odwdzięczyły się Jezusowi, gdy umierał na Golgocie, chroniąc Jego ciało przed owadami, a kiedy Chrystusa zdjęto z krzyża i porzucono u jego podnóża gwoździe, któremi ciało było przebite, wróble obsiadły pokrwawione żelaza tak gęsto, że żołnierze ich odnaleźć nie mogli. Skoro zaś złożono Jezusa do grobu i ptaszęta odleciały, święte żelaza przemieniły się w barwiste kwiaty, które

do dziś dnia rosną i na smutną tę pamiątkę gwoździkami się zowią.

Gdy po ziemskiej wędrówce Matka Najświętsza w niebo wziętą została na skrzydłach aniołów, żegnały drzewa i kwiaty cichym szeptem modlitwy, a ptaszki śpiewem nabożnym, do stóp Maryi przytuliło się kilka skowronków, które towarzyszyły Jej do wrót niebieskich. Wchodząc do nieba, Matka Jezusowa wprowadziła skowronki za sobą, żeby ujrzały królestwo Jej Syna, i odtąd przez wieki całe co rano przypominały światu, iż Bóg jest i modlić się do niego należy.

W legendzie ludowej bławatki, to strzępy sukni błękitnej, w którą aniołowie odziali Przeczystą Panienkę, gdy po zwiastowaniu szła ku świętemu miastu.

Pierwiosnki, białe jako puchy śnieżne, zakwitły po raz pierwszy, gdy św. Józef, dotknięty ślepotą, przejrzał na kilka tygodni przed śmiercią i patrząc na budzącą się do życia ziemię, błogosławił jej uszczęśliwiony. Odtąd uprzedzają one corocznie zieleń powszechną, napełniając serca ludzkie nadzieją odrodzenia.

I wiele, wiele jeszcze legend podobnych krąży wśród ludu, który imię Matki Jezusowej z najgłębszą czcią wymawia, dni Jej świąt najuroczyściej obchodzi, ściśle poszcząc wigilie, a w każdem niebezpieczeństwie ucieka się pod opiekę Królowej niebios.

Poetyczniejsze z tych legend, których treść zaznaczyliśmy powyżej, zebrał w szereg obrazków p. Kazimierz Kalinowski i własnym wydał nakładem. Prześliczny język, pełen tej samej prostoty, jaka stanowi cały urok poezyi ludowej, odznacza tę pracę młodego pisarza, którą należałoby rozpowszechnić wśród ludu naszego, nader chętnie czytającego wszystko, co tylko ma związek z Mateczką Jezusową. *Sł.*

Wieczór letni.

Słońce zaszło i mrok szary
Pokrył cienie drzew,
Cicho sterczą drzew konary,
Milknie ptaszął śpiew.
Gdzieś od stawu lecą głosy,
To jest żabi gwar.....

— — — — — —

Czasem wietrzyk muśnie zlekka
Srebrne liście drzewa,
Nigdzie nie ma już człowieka,
Tylko słowik śpiewa.
Śpiewa, lekko główkę schyla,
Oczki mrużąc śpiewa,
To najmilsza jego chwila,
Gdy swe tony zlewa.
A natura taka cicha,
Słuchać go się zdaje
W pierś swą tony jego wdycha,
Natchnienie podaje.
Słowik ciągle, ciągle śpiewa,
W pieśni się lubuje,
I ponure stare drzewa
Śpiewem swym przejmuje.
A mrok gęsty ziemię całą
Ujął w swe ramiona,
I słowika pieśń ustała
Echo w dali kona.
Drzewa listki swe zwinęły,
Gałązki zwiesiły,
Chwile dzienne przeminęły.
Teraz będą śniły.
Coraz ciszej!... w krótką chwilę,
Noc obejmie nas,
Jak ten wieczór, oby mile,
Przeszedł życia czas!

Cierń.

Właśnie w porę.

(Nowelka.)

— Powtarzam ci raz jeszcze, że nie zniosę dłużej takiego obchodzenia się. Odmawiasz mi spełnienia wszystkich życzeń. Znajomi śmieją się z twej oszczędności, bo też ograniczasz się tak, jak gdybyśmy mieli umrzeć z głodu. Ciekawa jestem, co by ojciec na to powiedział. Nie bywamy ani na balach, ani na koncertach, ani w towarzystwach. Suknie moje wychodzą z mody, a ja, jestem podług twego zdania, zawsze zbyt wystrojoną. Teraz oddalasz nawet pokojówkę i chcesz zgodzić jednę tylko służącą! Ach, to mnie zabija!

Pani Melania mówiła to wszystko bardzo żywo, i po ostatnich słowach, ukrywszy swą jasną śliczną główkę w miękkich poduszkach kanapki, głośnym wybuchnęła płaczem. Mąż jej, radca sądu, Walewski, westchnął głęboko, i smutny i zamyślony przechadzał się po pokoju.

Twarz jego, wązka, otoczona ciemnym zarostem; ozdobioną była pięknemi oczami, wyrażającemi zwykle nadzwyczajną łagodność i dobroć serca. Ale dziś cierpienie jakieś i kłopot dręczyły go widocznie, i już otwierał usta, aby może wypowiedzieć powód swego przygnębienia, gdy jedno wejrzenie na płaczącą żonę powstrzymało go od tego.

Może się wszystko zmieni na lepsze w ostatniej godzinie! Może zdoła przygotować ją zwolna na złe, jakie ją czeka! I mimowoli rzucił okiem na portret starszego mężczyzny, jej ojca, uśmiechniętego, pewnego siebie, i zacisnął pięści w bezsilnym gniewie. Wszystko kłamstwo! Wszystko! Z wyjątkiem nieskalanego honoru i jego głębokiej miłości dla Melanji!

— Umrę, jeżeli takie życie będę dalej wiodła, — zawołała nagle płacząca, zrywając się z kanapy. — Nie! Nie zostanę dłużej u ciebie! Dziś jeszcze wrócę do rodziców!

— Melanio! — krzyknął mąż, blednąc śmiertelnie.

Ale ona znikła już w przyległym pokoju.

— Więc i to jest kłamstwem! — jęknął. — Idź, idź, dowiedz się od twoich rodziców o tem, czego ja ci w miłości mojej powiedzieć nie śmiałem!

Pół godziny później oddała mu służąca klucze.

— Wielmożna pani, — rzekła z bezczelnym uśmiechem, — kazała je dać wielmożnemu panu. Zresztą nie mówiła nic więcej.

Nieszczęśliwy milczał. Nie trudno zgadnąć, co się w sercu jego działo.

Melania tymczasem zapakowała kufry, a ponieważ pociąg, którym zamierzała odjechać, odchodził dopiero za dwie godziny, przeto postanowiła iść jeszcze na czwarte piętro, do starej, owdowiałej kapitanowej B., którą znała od dawna i szanowała, jak własną matkę. Nie życząc sobie, aby się wszyscy zaraz czegoś złego z powodu jej nagłego wyjazdu domyślali, chciała prosić kapitanowej o pewien dozór w mieszkaniu, i o to, aby mężowi w czasie jej nieobecności na niczem nie zbywało.

W pokoiku wdowy skromnie było, ale miło i zacisznie. Melania miała łzy w oczach.

Gdy powiedziała o co chodzi, uśmiechnęła się wdowa serdecznie, i przyrzekła zaglądać codziennie do mieszkania pana radcy.

— Naturalnie, moje dziecko, bardzo chętnie, — zawołała. — Możesz liczyć na mnie — służbie doprawdy zupełnie ufać nie można! Ale jak przykre musi pani być takie rozłączenie się z mężem! Nie uwierzysz, jak bardzo lubię i szanuję pana radcę! Wszyscy go kochają — jest to jeden z tych ludzi, którzy nie mają nieprzyjaciół! Wygrałaś wielki los w loteryi małżeńskiej, ale umiesz też zapewne ocenić twoje szczęście!

Melania zarumieniła się i milczała.

— Jak często, — mówiła kapitanowa dalej, — porównuję wasze szczęście z mojem! O, dziecko drogie! Zachowaj je sobie starannie, bo wiem niestety z doświadczenia, że gdy ono raz zniknie, to już nie wraca!

Młoda kobieta zmieszała się niezmiernie.

— Co pani chcesz przez to powiedzieć? — szepnęła drżącym głosem.

— Nie znasz historyi mego życia? Opowiem ci ją w kilku słowach! Otóż poszłam za mąż z miłości, a pomimo, że i mój Eryk kochał mnie z całego serca, nie było małżeństwo nasze szczęśliwem! On był gwałtowny, ja zaś kapryśną i wymagającą — on oszczędny i skromny, a ja — pragnęłam się bawić i używać świata! Wyśmiewałam się z jego oszczędności, sądząc, że dochody kapitana są olbrzymie! Nie zrozumieliśmy się! Rok po ślubie postanowiłam wrócić do rodziców; myślałam, że skoro Eryk uczuje brak mojej obecności, zatęskni za mną, przyjedzie po mnie, i że potem będziemy żyć tak, jak ja chcę!

Odjechałam bez pożegnania, zostawiając list do niego. Uskarżałam się na to, że mnie tyranizuje, i że takiego życia dłużej znosić nie myślę.

— I cóż się potem stało?

— Ach, okropne to wspomnienie! Zaledwie przestąpiłam próg rodzicielskiego domu, gdy ojciec, ujrzawszy mnie, krzyknął przerażony:

— Nieszczęśliwa! Czego tu chcesz w tej strasznej godzinie?

Przed chwilą otrzymali rodzice telegram, że Eryk spadł z konia i że jest umierający! Znajomi jego, wiedząc, że wyjechałam do rodziców, uwiadomili mnie o tem natychmiast, i tak wiadomość o owem nieszczęściu uprzedziła moje przybycie.

Eryka przeniesiono do lazaretu. Jak wróciłam do niego — tego sama nie wiem. Przy życiu już go nie zastałam! Służąca powiadała mi później, że zaraz po przeczytaniu mego listu wyjechał konno, i że kilka minut później znaleziono go z roztrzaskaną głową.....

— Dziwię się, że nie straciłam zmysłów — ale Bóg kazał mi żyć — za pokutę...

Wykazało się też potem, że Eryk zostawił długi — pożyczał bowiem, aby zadowolić moje kaprysy. I tak nie zostało dla mnie nic — a jak mogłam być szczęśliwą! Daruj mi pani, że cię wzruszyłam mojem opowiadaniem, ale dziś właśnie minęło od owego okropnego dnia czterdzieści lat. Więc też wspomnienie to...

Głośny płacz Melanji przerwał wdowie dalsze słowa.

— Dziękuję pani — wyjąkała — dziękuję! Zdaje mi się, że nie pojadę już — że zostanę w domu...

Może być, że kapitanowa zgadła, co się działo w sercu Melanji. Milcząc, uścisnęła jej rękę i uśmiechnęła się pobłażliwie. A gdy młoda kobieta wyszła, rzekła sobie w duszy:

— Opowiedziałam jej historyę mego życia właśnie w porę!

Melania tymczasem biegła, nie namyślając się, szybko ze schodów i bez tchu nieomal wpadła do pokoju męża. Wyszła ztąd rozgniewana, a wracała głęboko upokorzona i zawstydzona swoim nierozsądkiem.

Radca siedział przy stole, z twarzą w rękach ukrytą — przed nim zaś leżał dopiero co przyniesiony telegram, zawierający jedno tylko słowo: „Ocalony“.

— Witoldzie! — zawołała, obejmując jego szyję.

— Nie przeszkadzaj mi — odrzekł chłodno — chcę być sam!

W tejże chwili spostrzegła ów telegram.

— Co to znaczy? — krzyknęła przerażona. — Na miłość Bozką, powiedz mi, co to znaczy?

— Chcesz się dowiedzieć prawdy?

— O tak, tak! I zostanę u ciebie! Wszakże twoje kłopoty są także mojemi! Nie zostawię cię samego, ale twoim obowiązkiem jest podzielić się ze mną wszystkiem, co ciebie dręczy i martwi. Wybaczysz mi mój dziecinny upór i nierozsądek?

Teraz więc powiedział jej całą prawdę. Ojciec jej, bogaty bankier, wdał się w nieszczęśliwe spekulacye i stracił wszystko, co miał. Najgorsze zaś, że wspaniała i kosztowna wyprawa Melanji nie była jeszcze zapłaconą i że mąż jej musiał przejąć dług ten na siebie. Telegram, który leżał na stole, był doniesieniem, że z całej ruiny zdołano ocalić skromny majątek matki, starczący ledwie na utrzymanie dosyć licznej rodziny. Ale bankier był zręcznym i miał nadzieję, że za pomocą tych kilkunastu tysięcy zdoła w krótkim czasie odzyskać stracony majątek.

Melania drżała jak we febrze i gorące łzy spływały po jej bladej twarzy.

— Biedni rodzice — szepnęła. — Dla nich jest to cios straszny i ciężki, cięższy stokroć, niż dla nas. Bo oni już starzy, i trudno im było przyzwyczaić się do innego życia, my zaś młodzi zniesiemy wszystko łatwiej. Kochajmy się serdecznie i miłość złagodzi wszelkie przykrości. Niechaj ich to przynajmniej pocieszy, że my oboje ręka w rękę stawimy mężnie czoło przeciwnościom losu i na nic narzekać nie będziemy!

Z uniesieniem najwyższej radości przycisnął Witołd żonę do swego szlachetnego, kochającego serca, a chmury, zakrywające jego szczęście, rozproszyły się jak mgła w promieniach wschodzącego słońca. *M. P.*

KRONIKA.

W Poznaniu pustki. Na ulicach ruch słabszy niż zwykle, w głównych przybytkach Melpomeny cisza, w handlach spokój i zastój, a wiele mieszkań w zamożniejszych dzielnicach miasta bez znaku życia — to sezon martwy. Pragnienie wypoczynku lub rozproszenia, potrzeba wrażeń nowych a osobliwie wzgląd na odświeżenie sił fizycznych wywabiły całe zastępy rodzin po za mury miasta, gdzieś w dalsze strony. Pokrzepieni na duchu i na ciele powrócą one do siedzib swoich, nie żałując grosza poświęconego na poratowanie zdrowia lub pokrzepienia sił.

„Beati possidentes“ mówi łacinnik. Prawda, dobrze tym, którzy coś mają; a jakkolwiek szczęście wewnętrzne i zadowolenie nie koniecznie przywięzuje się do fortun wielkich, to jednak dostatek, możność szafowania obficie groszem na życiowe potrzeby — jest nie do pogardzenia.

Niestety tak wiele rodzin, tak wiele tysięcy jednostek odmawiać sobie musi nawet tego, czego im bezwarunkowo do zdrowia potrzeba. Oto n. p. niedawno czytano w głównych organach niemieckich i polskich odezwę, ogłaszającą światu statystyczną prawdę, iż w prowincyi naszej 3000 ludzi corocznie umiera na suchoty, a 20,000 przeciętnie walczy w zapasach z tą złewrogą chorobą. I cóż to za ludzie składają się na te cyfry wysokie? Oto uczy statystyka, że lasecznik tuberkulozy najwięcej ofiar zabiera z sfer ciężko pracujących, z klas roboczych i rzemieślniczych. Niejednę z tych ofiar wyrwaćby można jeszcze z objęć śmierci, dając jej trochę wypoczynku i spokoju, odżywianie dobre i — najważniejszego pokarmu — świeżego, czystego powietrza. Względami miłości bliźniego się powodując, obywatele znamienitsi z całej prowincyi, bez różnicy narodowości i wyznania, zawiązali — jak wiadomo — komitet, mający za zadanie pracować nad założeniem senatoryów czyli lecznic dla suchotników i zbierać fundusze na ich utrzymanie.

Koszt założenia lecznicy dla stu suchotników obliczono na 3—400,000 mk., koszt utrzymania jednego pacyenta dziennie na 3—4 mk.

Dzieło dobre i szlachetne, nie ma co mówić! Ale jakież to szyderstwo w obliczu ludzkości, gdy w sporym poczcie obywateli, podejmujących się szlachetnych, filantropijnych zabiegów, figuruje mnóstwo takich, którzy w innej dziedzinie publicznego życia wyzbyli się doszczętnie ludzkich uczuć. Są w tym zastępie, pragnącym zwalczać bacyla suchotniczego ci sami, którzy szerzą bacyla hakatystycznego, trującego, zabójczego dla wielu egzystencyi. Czyż to nie ironia wołać o fundusze w imię litości i miłosierdzia, a bez litości i bez miłosierdzia pozbawiać spokoju, pozbawiać chleba, ba pozbawiać niekiedy zdrowia tysięcy, tysięcy współobywateli. Czyż to nie na farsę zakrawa, podpisywać odezwę uczuciowo skoncypowaną, wołającą o dobre odżywianie zapadłych na suchoty częstokroć skutkiem biedy i nędzy, pod hasłem podniesienia „des Deutschtums in den Ostmarken“? „Gdzież sens, co to wszystko znaczy, niechaj mi kto wytłomaczy“, możemy zapytać wspólnie z Wincentym Polem, niechaj kto wytłomaczy tę logikę dziwną, która w imię ludzkości bierze pod skrzydła opiekuńcze wszystkich cierpiących na gruźlicę, bez względu na narodowość, która pragnie zgromadzić potrzebne fundusze a godzi się zupełnie na wyszafowanie funduszów kolonizacyjnych dla celów przeciwnych ludzkim pojęciom równości i sprawiedliwości. — Niechajby z dwustu milionów kolonizacyjnych popłynęła część pewna na to ludzkie filantropijne dzieło, a sądzę, iżby to opinię przekonało, iż w pewnych wyższych sferach jest niejaka konsekwencya przy działaniu na korzyść całej dzielnicy poznańskiej.

Ale o to pewnie daremno się dopominać. Przecież z szczupłych środków naszych powstały organizacye służące zdrowiu cielesnemu, jak Towarzystwa sokolskie i Kolonie feryjne, a jednak niechętnem patrzy na nie okiem niejeden z tych, których tak żywo zdaje się interesować zdrowie cierpiących na suchoty!

Wogóle praca w ludzkiem pojmowaniu zupełnie przeciwna powyższej filantropii postępuje i rozwija się bezustannie. Obok kolonizacyi na prowincyi pojawiają się usiłowania germanizacyi coraz żywsze w zakresie przemysłowym i handlowym. Na Wildzie rozrasta się przyszła fabryka porcelany, a w sąsiedztwie fabryka przeróbki drzewa. Oba przedsiębiorstwa półrządowe na zewnątrz zapowiadają się olbrzymio; czy wewnętrzny rozwój również będzie olbrzymim, to kwestya bardzo wątpliwa. W wielu już przedsiębiorstwach przemysłowo-rządowych sukces nie odpowiadał pierwotnemu rozmachowi.

Bądź jak bądź, Wilda zyskuje przez to na życiu i znaczeniu. A gdy się zważy, iż jedna z poważnych naszych fabryk także zamierza na wildeckiem terytoryum się pobudować, to nie dziwić się gorączce spekulacyjnej, która na tem przedmieściu zagrasowała. — Powiadają eksperci, iż grunty na Wildzie jeszcze znacznie pójdą w górę, a zwyżka lata całe się przeciągnie, że Wilda zacznie się teraz rozbudowywać ku dołowi, że w projekcie jest przeniesienie ogrodu Zoologicznego do Dębiny i parku Wiktoryi, że wielcy kapitaliści, przeważnie żydzi, zakupiwszy mnóstwo gruntów po prawej stronie drogi do Dębiny, postanowili podnieść teren i pobudować wspaniałe wille — słowem, przewrot ma nastąpić w tej do niedawna mało ożywionej okolicy naszego grodu. Kto ma tro-

chę grosza, garnie się też do kupna, spekulacya wdziera się do każdej zasobniejszej kieszeni, a końca zwyżki nie widać. Ludzie ostrożni patrzą na to i nie pojmują, dokąd to zmierza, a pomiędzy nimi także kronikarz „Pracy“.

Alf.

Wina i pokuta.

Tłomaczyła z francuzkiego

M. P.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Pomimo, że rany Jana były ciężkie, to żył jednak. Po długiem zemdleniu, zbudzony dotkliwym bólem w piersi i głowie, otworzył oczy, ale dla ciemności niczego dojrzeć nie mógł. Z nadludzkim prawie wysiłkiem zdołał się podnieść, i teraz dopiero poznał, że jest cały zalany krwią.

— Czy to sen okropny?

Nie! To stokroć okropniejsza rzeczywistość! Utrata krwi wróciła mu przytomność; obłąkanie znikło, ale gdy obłąkani odzyskują władze umysłowe, wtedy zapominają o tem, co czynili w napadzie szaleństwa.

Więc też usiłował sobie daremnie przypomnieć Jan ostatnie wypadki dzisiajszego dnia. Zwolna dopiero zaczęło się w umyśle jego rozjaśniać — wszakże widział Emilię, rozmawiał z nią i w końcu chciał umrzeć.

A Emilia? Czy przestraszona opuściła ten dom i zostawiła go tu samego, bez pomocy, zbroczonego krwią. Czuł, że coś innego musiało się jeszcze zdarzyć, ale co? O, gdyby mógł sobie tylko przypomnieć, co się właściwie z Emilią stało. Gdyby chociaż mógł widzieć pokój, w którym się znajduje, jak tutaj jednak ciemno....

Wysilony utratą krwi, oparł się nareszcie o poręcz fotelu, wyjął z wielkim trudem pudełko zapałek z kieszeni, i zapalił jedną. Obok niego leżał rewolwer — a tam nieco dalej, siedziała Emilia z głową pochyloną na ręku i spała.... Na ziemi pełno krwi....

W tej chwili poznał całą, straszliwą prawdę.

— Zabiłem ją! — jęknął głucho. — Zabiłem ją!

I znów ciemność otoczyła nieszczęśliwego, i w okropnej ciszy nie słychać było nic, jak chrapliwy oddech jego. Teraz odzyskał nagle pamięć i wiedział, że był — mordercą!

— Byłem obłąkanym — powiedział sobie, — ale to nie zmienia tego, co się stało, zostanę uwięzionym... nie, nie! — krzyknął z rozpaczą — wszystko, tylko nie to!

Zwolna nabrał tyle siły, że mógł iść kilka kroków dalej. Teraz jednę miał tylko myśl: uciekać!

— Do więzienia nie pójdę — powtarzał, — wolę umrzeć!

I tak dowlókł się do schodów i trzymając się poręczy, zdołał zejść na dół. Zimno sprawiło mu pewną ulgę, a ponieważ pragnienie dokuczało mu niezmiernie, przeto zebrał kilka garści śniegu i włożył je w usta.

Ale dokąd teraz iść? Przed nim rozciąga się wielka biała płaszczyzna, na której łatwo go może kto zobaczyć z daleka. A gdyby go kto spotkał, jak ma wytłomaczyć swoje rany? Ach, o to już mu chwilowo nie chodzi — byleby jak najprędzej oddalić się od tego przeklętego domu!

Koło krzyża traci siły i pada na ziemię, a gdy nareszcie znowu wstaje, nie widzi w ciemności, że zostawia na śniegu obfite ślady krwi i odcisk całej swej postaci.

Rana na czole dokucza mu najwięcej. Wyciera ją więc śniegiem i to sprawia mu wielką ulgę. Potem idzie dalej, coraz dalej, aż nareszcie widzi zdaleka, tuż pod lasem zarysy jakiejś chaty. Ale teraz wypowiadają mu siły posłuszeństwo, pada na kolana i tak czołga się aż do progu chaty.

— Ratunku! — krzyczy ostatnim, nadludzkim wysiłkiem.

Drzwi otwierają się i mężczyzna jakiś ostrożnie wychyla głowę.

— Kto tam? Czego chcecie? — pyta.

Jan wyciąga błagalnie ręce.

— Ratujcie mnie, ja was sowicie wynagrodzę....

Potem traci przytomność i osuwa się u stóp mieszkańca chatki.

„Ojciec Barabasz“, tak go bowiem ogólnie nazywano, był węglarzem, a zatem biednym, pracującym w pocie czoła człowiekiem. Ujrzawszy teraz leżącego przed nim Jana, nie wiedział rzeczywiście, jak ma postąpić. Odstraszały go przedewszystkiem ślady krwi — domyślał się jakiejś tajemnicy i drżał na myśl żandarmów, sądu i śledztwa. Ale w tejże chwili zbliżyła się do niego Katarzyna, jego żona.

— Słyszałaś? — zapytał krótko.

— Tak. Wszakże mówił, że nas dobrze wynagrodzi!

— Więc jak?

— Nie możemy go tu zostawić na zimnie.

— A zatem, myślisz, że mamy go wziąść do izby?

— Naturalnie! Rozpalę ogień, a w butelce jest jeszcze trochę wódki. Skoro się napije, przyjdzie do siebie.

Ojciec Barabasz nie ociągał się dłużej. Podniósł Jana jak dziecko i zaniósł go do izby, Katarzyna zaś starannie zamknęła drzwi i pobiegła do kuchni.

Przez pięć dni leżał Jan w ciężkiej gorączce, potem zwolna, pielęgnowany troskliwie przez żonę węglarza, zaczął wracać do zdrowia. Barabasz przynosił mu potajemnie lekarstwa z apteki w Senlis, a dwa tygodnie później mógł Jan już o dalszej myśleć ucieczce. Obdarzywszy węglarza dosyć wysoką sumą pieniężną, udał się dnia pewnego o zmroku na dworzec. Rana na czole zakrytą była czarną przepaską, a obszerny i ciemny płaszcz okrywał jego wychudłą, wynędzniałą postać.

Na dworcu kupił Barabasz bilet do Paryża, i tak wyjechał Jan nareszcie do stolicy, zkąd natychmiast udał się dalej, do Saint-Brice. Nie śmiał wracać do swego mieszkania, nie wiedział bowiem, czy policya go nie szuka. Że odkryto ciało Emilii w Nowym Dworze, o tem słyszał już od węglarza.

Wieczorem stanął szczęśliwie w „Ulu“, strasznie zmęczony długą podróżą. W „Ulu“ jednak pod opieką poczciwych wieśniaków, wychowujących jego przybranego syna, Karolka, odzyskał wkrótce stracone siły.

Kilka dni po przybyciu do Ula, wyczytał w gazetach, że mordercą pani Emilii Richarder jest doktor Jan Vandale, i że policya poszukuje go. Wiadomość ta straszne na nim wywarła wrażenie, wiedział teraz już napewno, że czy prędzej, czy później wyśledzą go tutaj, a potem....

Wieśniacy, czytujący pilnie gazety, osłupieli z przerażenia. W domu ich ukrywał się morderca niewinnej kobiety!

Było to straszne, niepojęte, ale wrodzona im dobroć serca, oraz wdzięczność i gościnność, nie pozwalały zdradzić tego, który z ufnością u nich szukał schronienia, i wydać go w ręce sprawiedliwości. A w dziennikach ogłaszano coraz to nowe artykuły, tyczące się zbrodni i mordercy. Pisano o jego przeszłości, o adoptowaniu Karolka Labarta, o zwichniętej karyerze i tak dalej.

Za radą wieśniaka Rougearda, zachowywał Jan wszelkie środki ostrożności. W nocy spał na poddaszu, na które wchodził za pomocą drabiny, którą zaraz potem wynoszono do ogrodu. Nad drzwiami zaś poddasza zawieszano sznury, do których przywiązaną była cebula i buraki, tak, że nikt nie mógł się domyśleć, że je codziennie zdejmowano i znów rano umieszczano.

Pewnego dnia przybiegł Rougeard bez tchu z lasu.

— Panie doktorze, — zawołał, — zdaje mi się, że policyanci już tu są! Widziałem kilku podejrzanych mężczyzn, którzy uważnie na mój dom patrzeli. Na miłość Boską, ratuj się pan!

Wieczorem opuścił Jan gościnny „Ul“, a w nocy przyszli rzeczywiście żandarmi. Pomimo jednak najstaranniejszych poszukiwań nie znaleźli tego, którego szukali, i z próżnemi rękami musieli wracać do Paryża.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Prokurator w Senlis pan d'Aigur, zamieszkiwał piękny dom, po za miastem. Pewnego wieczora w pierwszych dniach Stycznia, przyniósł mu służący jakiś list.

— Kto ci go oddał? — zapytał prokurator.

— Nie znam tego pana, ale on w ogrodzie czeka na odpowiedź.

Pan d'Aigur otworzył kopertę. Na małym arkuszu znajdowały się następujące słowa:

— Proszę o kilka chwil rozmowy. Jestem pośrednikiem pomiędzy panem, a człowiekiem, którego namiętność do zbrodni popchnęła. Nie odmawiaj pan mojej prośbie.

Był to dziwny list, i prokurator długo wahał się z odpowiedzią. Potem jednak, będąc pewnym, że może tu być mowa tylko o Vandalu, zawołał znowu służącego.

— Jak wygląda ten pan? — zapytał.

— Jest już dosyć stary, i zdaje się być chorym.

— Gdzie jest? Nie mógłbym go widzieć, zanim go tu nie wprowadzisz?

— Skoro oddał mi list w kuchni, poszedł do ogrodu.

Prokurator zbliżył się do okna i ujrzał opartego o drzewo mężczyznę.

— Za ciemno już, — rzekł, — nie mogę rozpoznać rysów twarzy.

— Na złoczyńcę nie wygląda wcale, – dodał służący. — Musi to być jakiś nieszczęśliwy człowiek.

— Wprowadź go!

Kilka minut później otworzono drzwi, i nieznajomy stanął na progu.

— Przeczytałem list pana, — zaczął prokurator, wskazując mu krzesło. — Proszę mi teraz wytłumaczyć znaczenie jego. Przedewszystkiem jednak chciałbym wiedzieć, kto pan jesteś i jak się nazywasz?

— Kim jestem, to pan widzisz — chorym i nieszczęśliwym, nazwisko moje zaś — — jest panu nieznanem... ale wymienię panu inne.... Jan Vandale.

Prokurator zerwał się z krzesła.

— Znasz go pan? — zawołał żywo.

— Tak, to mój najlepszy przyjaciel.

Pan d'Aigur zadzwonił na służącego.

— Niech tu zaraz przyjdzie dwóch żandarmów, — rozkazał krótko.

Nieznajomy zadrżał.

— Po co? — wyjąkał.

— Po to, aby pana natychmiast uwięzić, jeżeli uznam to za potrzebne w interesie sprawy, o którą chodzi. A teraz, proszę mów pan!

— Mordercą pani Richarder jest Jan Vandale, — szepnął nieznajomy bezdźwięcznym głosem.

— Wiem o tem oddawna.

— Wiesz pan także, dlaczego ją zabił?

— Zdaje się, że z zazdrości.

— Nie! On nie miał najmniejszego prawa być zazdrosnym, ponieważ pani Richarder nie kochała go wcale.

— Więc ona niewinna?

— Zupełnie! Ale i Vandale jest niewinnym.

Prokurator spojrzał ciekawie na mówiącego.

— Mów pan dalej, — rzekł.

— Vandale jest niewinnym, ponieważ zabił ją w przystępie obłąkania, będącego dziedzicznem w jego rodzinie. Kochał nad wszystko w świecie panią Richarder, którą znał od dziecka, i myśl, że ona jest żoną innego, doprowadziła go do wściekłości. Napisał do niej list, wzywający ją do Nowego Dworu, grożąc w razie odrzucenia jego prośby, odebraniem sobie życia! Nieszczęśliwa kobieta przybyła, chciała go pocieszyć, uspokoić, bo była do niego przywiązaną, jak do brata, i wtedy wybuchło w nim obłąkanie z całą potęgą! Żądał, aby ukochana jego przyrzekła, że częściej tu przyjeżdżać będzie, ale ona z pogardą odpowiedziała mu, że tego nigdy w życiu nie uczyni. Wtedy porwał biedny szaleniec rewolwer — i — zbrodnia została popełnioną! Ją trafił w samo serce, siebie chybił. Zranił się tylko mocno, i upadając, uderzył głową o stół....

Pan d'Aigur spojrzał przy tych słowach uważnie na czoło mówiącego, obwiązane czarną przepaską. — Vandale, — kończył nieznajomy, — był zatem obłąkanym, i nie może odpowiadać za swój czyn....

— Któż to może dowieść? — przerwał prokurator. — Vandale jest winnym tej strasznej, haniebnej zbrodni, i musi za nią być pociągniętym do odpowiedzialności. Gdyby nie został za to ukaranym, to nie byłoby chyba sprawiedliwości na świecie. Nie byłoby ani zbrodniarzy, ani morderców - każdy bowiem tłumaczyłby się chwilowem obłąkaniem. Zamiast więc karać winnych, musielibyśmy się nad nimi litować!

— Ale ja panu przysięgam, że on rzeczywiście był obłąkanym, — szepnął obrońca Vandala.

— Głupstwo, — zawołał prokurator szorstko.

Słowa nieznajomego ani go nie wzruszyły, ani przekonały, przeciwnie nawet wiadomość, że Emilia nie kochała doktora, zwiększyła jego odrazę względem tego zbrodniarza. Po chwili przykrego milczenia wstał, i zbliżając się do siedzącego rzekł:

— Chcesz mi pan dowieść w interesie Vandala, że wola jego nie brała żadnego udziału w morderstwie. Powiedz mi teraz to jedno tylko: jak dzieci zamordowanej będą się zapatrywać na zbrodnię i na zbrodniarza za lat piętnaście, to jest, gdy dorosną?

Nieznajomy drgnął i spuścił głowę.

Prokurator położył mu rękę na ramieniu.

— Pan jesteś doktorem Janem Vandale — rzekł poważnie.

— Tak!

— Powinienem był pana natychmiast uwięzić.

— A co pan uczynisz teraz? Nie powiedziałem jeszcze wszystkiego — muszę się przecież usprawiedliwić i.....

— To nie do mnie należy, — odpowiedział prokurator, i nacisnął guzik dzwonka.

Służący wszedł do pokoju.

— Wykonałeś moje polecenie? — zapytał pan d'Aigur.

— Tak, ale żandarmów jeszcze nie ma, bo wachmistrz wyszedł. Za kilka minut jednak będą tutaj.

— Dobrze, daj mi znać jak przyjdą.

Służący oddalił się, a Vandale odetchnął swobodniej.

— Powiesz pan, — zaczął cicho, — że popełniłem straszną zbrodnię, zabijając kobietę, do której najmniejszego nie miałem prawa, i że rzuciłem plamę na jej honor. Bo mąż i świat cały zwątpił o jej uczciwości!

Ale moich cierpień moralnych nie zwiększysz pan tem. Zapytasz pan teraz, czemu uciekałem, jak prawdziwy tchórz z Nowego Dworu? O, bo lękałem się odkrycia zbrodni! Powinienembył, jako człowiek honoru, umrzeć, a ja — uciekłem! Lękałem się więzienia, domu obłąkanych, siebie samego! Ale teraz, zanim mnie pan każesz uwięzić — bo wiem, na co się naraziłem, przychodząc tutaj, muszę ci to jeszcze powiedzieć, że, jeżeli uzyskam wolność, to poświęcę całe moje życie pokucie i usiłowaniom wynagrodzenia złego, jakie popełniłem. W jaki sposób to uczynię, tego dziś jeszcze nie wiem, ale Bóg, który zna serce człowieka, wskaże mi właściwą drogę. Całe moje życie będzie odtąd jednem pasmem ofiar, aż do ostatniej chwili chcę dźwigać na sobie ciężar przelanej krwi. Jeżeli będę wolnym, mogę moją wiedzą służyć cierpiącej ludzkości, mogę ocalić życie setkom chorych! Będąc jednak w więzieniu, nie naprawię nigdy winy. Powiadam to wszystko panu dla tego, że nie jestem zwyczajnym mordercą i twierdzę stanowczo, że jestem niewinnym i że potępiam o wiele więcej, niż pan moją zbrodnię. Byłem obłąkanym!

— Ale ponieważ rzecz ta nie może się powtórzyć, przeto naszem zadaniem jest, odebrać panu do tego wszelką możność. Musisz to sam przyznać!

Mówiąc to, zadzwonił prokurator. Ostry głos dzwonka zabrzmiał złowrogo w ciszy wieczornej.

— Rozważ pan sobie moje słowa — zawołał Jan. — Pokuta moja może się stać użyteczną, kara zaś nikomu nie przyniesie zysku. A zresztą — nie pójdę ani do więzienia, ani do domu obłąkanych! Skoro żandarmi tu wejdą, znajdą - - trupa! Przygotowałem się na wszystko! Przekonaj się pan sam!

I Jan wyjął z kieszeni maleńki kryształowy flakonik.

— Mam tu dziesięć kropli kwasu pruskiego — pięć zaś wystarcza, aby śmierć nastąpiła natychmiast!

W tejże chwili wszedł służący, ale prokurator milczał. Tak on jak i Vandale był śmiertelnie blady. Ale Jan był spokojny, podczas kiedy pan d'Aigur czuł się niezmiernie zmięszanym. Jedno jego słowo, jeden ruch żandarmów, a Vandale nie żył... I śmierć jego nie naprawiłaby rzeczywiście niczego — stawała się zupełnie niepotrzebną! Ale co robić! Jeżeli przywoła żandarmów, umrze Jan, jeżeli będzie milczał, pozwoli mu uciec bezkarnie. W sercu urzędnika ciężka toczyła się walka.

— Może życie — rzekł sobie w końcu — ciężką dla niego będzie karą. Żal jego jest szczerym, a wyrzuty sumienia będą go wiecznie dręczyć.

— Powiedz żandarmom, że nie potrzebuję ich — zwrócił się do służącego, który w tej chwili stanął na progu.

I znów został sam na sam z mordercą.

— Obowiązkiem moim było uwięzić pana — rzekł surowo. — Nie uczyniłem tego, ale oświadczam, że nie wybaczam ci wcale i nie czuję żadnej dla pana litości. Nie mam prawa do tego, i dałem ci wolność, że uległem przymusowi. Możesz pan odejść.

— Nie potrzebujesz pan sobie nic wyrzucać — odparł Jan — bo byłbym sobie bezwarunkowo odebrał życie. Powtarzam raz jeszcze: od tej chwili rozpocznie się moja pokuta!

Po upływie kilku sekund już Jana w pokoju nie było. — Wyszedł cicho, a zaraz potem przesunął się cień jego na ścieżce w ogrodzie i zniknął.

Trzy tygodnie później zakończyła się na sądzie sprawa tajemniczego morderstwa w Nowym dworze. Policya nie zdołała wyśledzić Jana, który szczęśliwie uniknął grożącego mu niebezpieczeństwa.

Żandarmi bacznie obserwowali mieszkańców „Ula"; Karolek żył dalej spokojnie pod opieką wieśniaków, a ponieważ policyanci wiedzieli, jak bardzo kochał Vandale swego przybranego syna, przeto spodziewali się, że czy prędzej, czy później, uda im się tam go schwycić. Ale nadzieja ta zawiodła ich, bo pewnego dnia zniknął Karolek bez śladu, a gdy sędzia zaczął badać Rougearda i jego żonę, dowiedział się od razu całej prawdy. Otóż Vandale, przebrany za woźnicę, zajechał na wozie, pełnym drzewa, przed „Ul", aby zjeść kawałek chleba. Ukrywszy Karolka pomiędzy drzewem,

zabrał go z sobą i uciekł z nim do Belgii, a ztamtąd, pod innem nazwiskiem, jeszcze dalej w świat.

W dniu ukończenia sprawy na sądzie otrzymał przewodniczący list od Jana Vandale. Otworzył go podczas posiedzenia i przeczytał głośno następujące słowa:

„Zabiłem Emilię Richarder w napadzie obłąkania, ponieważ nie mogłem znieść myśli, że ona jest żoną innego. Potem chciałem zabić siebie, ale ręka moja drżała silnie i chybiłem. Żałuję tego, co uczyniłem, a życie moje będzie pokutą za przeszłość. Możecie mnie panowie tymczasem potępić i skazać na karę, na jaką chcecie. Jan Vandale“.

Prokurator nie zataił bynajmniej swej dziwnej rozmowy z mordercą i tak dowiedziała się najdalsza nawet publiczność wszystkich szczegółów tego strasznego wypadku. Proces ukończono teraz bardzo prędko, a przysięgli uznali winę nieobecnego oskarżonego i skazali go jednogłośnie na dwadzieścia lat ciężkiego więzienia. Ale publiczność zajęła się tak gorliwie owym procesem, że nazwisko Jana Vandala długo jeszcze było przedmiotem odrazy dla jednych, a litości dla drugich.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Sierpień.

Niby ornat złotem tkany,
Błyszczą kłosem bujne łany;
Dzień, dzień sierpy dzwonią w polu,
Bóg dał ziarno — czart kąkolu,
Lecz ty człeku idź za pługiem
I jednego nie siej z drugiem.
Kocham ciebie, ziemio czarna,
Bo ty złote rodzisz ziarna,
Kocham ciebie, ziemio żyzna —
Bo ty moja ojcowizna,
Wdzięczna, hoża jak dziewoja —
Moja, moja — moja, moja!
Więc radosnej pieśni echo,
Pod słomianą słychać strzechą,
Bory, lasy, szmer u zdroja —
Powtarzają: moja! moja!
Płynie falą ponad łany,
Śpiew odgłosem powtarzany,
Aż się w górze śmieją nieba —
Nie zabraknie w Polsce chleba!

J. Z.

Feljeton literacki.

„Towarzystwo naukowe w Toruniu. (Societas literaria Torunensis). Podejmując przerwane od r. 1878 wydawnictwo „Roczników“, zamierzamy w nich umieszczać rozprawy przystępne, choć na ścisłych studyach oparte, z wszystkich nauk, szczególnie zaś z dziejów i etnografii Prus Zachodnich. Na życzenie kilkakroć objawione, podawać też będziemy w każdym „Roczniku“ zestawienie najnowszych dzieł i rozpraw, tymże przedmiotom poświęconych. O życzliwą pomoc i radę, niemniej też o pobłażliwość prosimy, jak od siebie obiecujemy starań przykładać, by „Roczniki“ te nauce pożytek przyniosły. Zarząd Towarzystwa naukowego w Toruniu: ks. Stanisław Kujot, Michał Szczaniecki, dr. L. Szuman, dr. M. Jaworowicz.“

Temi słowami na wstępie powiązał nowy zarząd wymienionego Towarzystwa najnowszą publikacyę z poprzedniemi trzema „Rocznikami“ i nakreślił zarazem program dalszych publikacyi swoich.

„Rocznik czwarty“, który latem r. z. wyszedł z pod prasy u S. Buszczyńskiego w Toruniu w bardzo gustownem wydaniu i już się znajduje w handlu księgarskim, obejmuje 6 arkuszy druku in 8o.

Towarzystwo toruńskie zawiązało się 16 grudnia 1875 r. z inicyatywy i gorliwem staraniem ś. p. Zygmunta Działowskiego; jemu też zawdzięcza pierwsze zbiory muzealne, a szczególniej wykopaliskowe, oraz mapę archeologiczną Prus Zachodnich, opracowaną przez G. Ossowskiego, wydaną zaś wspaniale sumptem rodziny Działowskich w świetnem wyposażeniu. Zbiory towarzystwa mieściły się pierwotnie w najętym lokalu, w r. 1882 przeniesione zostały do gmachu, który wybudowało towarzystwo akcyjne pod firmą „Muzeum w Toruniu“, gdzie dotąd pozostają.

Wydane pierwsze trzy roczniki pozostaną dowodem żywej młodzieńczej ruchliwości tego towarzystwa w trzech jego wydziałach, w jakie się członkowie zszeregowali: teologicznym, lekarsko-przyrodniczym i historyczno-archeologicznym. Przy braku jednak funduszów i pracowników, bo członkowie przeważnie pracami codziennemi są obarczeni, począł się zastój, który dopiero w r. 1897 przez wybór ks. Kujota do zarządu i na prezesa w tymże przerwany został i teraźniejszej publikacyi doczekać się pozwolił. Może też przyczyniło się do tego i obniżenie wkładki rocznej z 10 na 6 marek, co w stosunkach, gdzie do licznych należeć wypada towarzystw składkowych, nie jest bez znaczenia.

Spis członków wykazuje za 1897 rok 226 osób. Staraniem dzisiejszego prezesa, ks. Kujota, znanego już z badań historycznych, zebrały się w „Roczniku“ ogłoszone prace.

Rozprawa „Mazurzy wschodnio-pruscy“ ks. Gustawa Pobłockiego, bystrego i pracowitego badacza gwar polskich w stronach tutejszych, podaje spostrzeżenia, poczynione podczas dwuletniego pobytu autora między Mazurami, których liczba w powiatach: gołdapskim, janowskim, leckim, łeckim, margrabowskim, sąsborskim, szczycieńskim i nidborskim do pół miliona dochodzi, świadomość odrębności plemiennej zaś tak się już u nich obudziła, mimo niemieckiego zalewu, że na rodowitych swoich głosowali kandydatów przy ostatnich wyborach do parlamentu, a w „Gazecie Ludowej“ w Ełku mają przeświadczonego rodowych praw i potrzeb słowiańskich obrońcę, którego nawet kondemnaty sądowe od obrony tej nie odstraszają.

Ciekawe tu napotyka się zapiski o stanie oświaty, wierzeniach i zabobonach Mazurów, o przechowywanych zawsze jeszcze tradycyach katolickich, ich modlitwach i pieśniach i obserwowanych dotąd świętach katolickich.

Lud ten przeprowadzili Niemcy bez jego wiedzy i woli na protestantyzm, to też do dzisiaj trwa błąkanina. A zresztą dość zajrzeć do „Kazań Samuela Dambrowskiego“, które dotąd najpopularniejsze między Mazurami, a przekonać się można, że wszystkie święta Matki Boskiej i licznych świętych katolickich początkowo w gminach protestanckich zachowywano, o czem tradycya już przez utrzymywanie się tej postyli w ręku Mazurów odświeża i wzmacnia.

Następuje rzecz obszerniejsza, 56 stron druku obejmująca, profesora ks. Chotkowskiego. Autor badając archiwalne źródła do historyi kościelnej w Galicyi, napotkał w zakładzie Ossolińskich we Lwowie dwa ogromne konwoluty dokumentów, odnoszących się do pierwszych lat dziejów porozbiorowych. W tem znajduje się 5 memoryałów Degelmanna ze stycznia 1775 r. Ks. Chotkowski przywodzi w wiernem tłomaczeniu spostrzeżenia, rady i plany Degelmanna, objaśnia je przywodzeniem łączącego się z rzeczą materyału historycznego i podaje przez to rozprawę nader ciekawą i ważną historycznie. Z ziemi Rzeczypospolitej wywożono bardzo wiele i znaczny był przez to w nich handel, bo i zapotrzebowanie z zagranicy było wielkie, a dla handlujących korzystne. Dalej, że handel w obu tych kierunkach miał swoje wyrobione drogi lądowe i wodne, łączące kraj z krańcami Europy we wszystkich kierunkach, jak najmniej z ziemiami Lewanty i głębokiej Azyi. Traktaty rozbiorowe, zawierane z wielkim pospiechem, poprzecinały drogi te i oddały, a raczej nie dopatrzyły się, że lwią część zysku z tego dały zabrać Prusom, które ogromnemi cłami na Wiśle w Fordonie i pod Gdańskiem obdzierały po prostu eksport i import polski. Dodać tu jeszcze wypada, że Degelmann bardzo korzystnie świadczy o ówczesnym rozwoju rękodzielnictwa i fabryk w ziemiach Rzeczypospolitej i zwraca nawet uwagę Austryi na blizkie niebezpieczeństwo dla przemysłowych ziem austryackich — konkurencyi z tej strony. Rządy austryackie starały się tego uniknąć przez czas stu lat przeszło, czyniąc z Galicyi pod każdym względem ekonomicznym ruderę, ruderę i ruderę.

Ostatnia rzecz dra Nadmorskiego o nowszych wydawnictwach o ludności i gwarze kaszubskiej jest dopełnieniem poprzednich obszernych prac tegoż autora nad tą kwestyą. Przywiódłszy nowszą literaturę polską, niemiecką i rosyjską (rozprawę Mikkola) o Kaszubach i ich gwarze, broni swego zapatrywania, że to nie osobny język, lecz narzecze polskie — lechickie. Bardzo trafnie zaś zarzuca przeciwnikom, że zamiast czynić studya porównawcze między kaszubską a innemi gwarami polskiemi, jak kociewską i krajnicką, któremi mówi lud sąsiedni, czynią raczej równanie z polszczyzną piśmienną i przez to do potwornych dochodzą wniosków. Dodane do „Rocznika“ „Fontes I. 1897“, a raczej podana w nich relacya z wizytacyi kościelnej z r. 1583, a więc z czasów wdarcia się reformacyi luterańskiej do ziem Pomorskich, drukowana jest według oryginału po łacinie.

Rocznik V (Toruń, 1898, in 8-o, str. 100) obejmuje dwie prace, z których zwłaszcza jedna zasługuje na baczniejszą uwagę. Jest nią rozprawa dr. Nadmorskiego p. t.: „Konrad Wallenrod, wielki mistrz krzyżacki, w świetle dziejowem i w poemacie Mickiewicza“. Praca ta dzieli się na dwie części: w pierwszej autor daje wiadomości faktyczne o Konradzie Wallenrodzie, mówi o jego pochodzeniu z Frankonji, o zajmowanych przez niego coraz wyższych stanowiskach w Zakonie i o działalności jego, jako wielkiego mistrza, w ciągu 28 miesięcy od d. 12 marca 1391 r. W drugiej części dr. N. rozbiera źródła, z których korzystał Mickiewicz. Źródła te obfitowały, w mnóstwo szczegółów fałszywych, jednak przez długi czas za prawdziwe uznawanych nawet przez poważnych historyków. Demoniczna postać Konrada Wallenroda, tajemnicza rola Halbana, a nawet ukazanie się w poemacie Aldony, znajdują wytłomaczenie w dziełach Kotzebuego i Beckera, które właśnie Mickiewicz miał w ręku. Druga praca w tymże Roczniku: „Brodnica między r. 1819 a 1863“ została napisana przez Romualda Łazęgę.

Tanie wydanie pism Elizy Orzeszkowej. Nakładem p. Hipolita Wawelberga w Warszawie ukazały się w nowem wydaniu pisma Elizy Orzeszkowej. Jest to dalszy ciąg podję-

tego przez Wawelberga wydawnictwa zbiorowych pism naszych najcelniejszych powieściopisarzy. Dotąd ukazały się, jak wiadomo, pisma Sienkiewicza i Prusa, obecnie zaś staje obok nich w szeregu Orzeszkowa. Zbiorowe to wydanie poprzedzone oceną talentu Orzeszkowej, napisaną przez Piotra Chmielowskiego, obejmuje cztery spore tomy. Tom I wypełnia „Nad Niemnem“. Tom II przynosi powieści i nowele: „Pieśń przerwana“, „Dwa bieguny“, „Bracia“ i „Światło w ruinach“. Tom III zawiera powieści na tle życia proletaryatu żydowskiego, a mianowicie: „Meira Ezofowicza“, „Silnego Samsona“, „Gedalego“ i „Ogniwa“. Tom IV „Niziny“, „Dziurdziowie“ i „Cham“. W dziełach tych porusza autorka najważniejsze kwestye, które w łonie społeczeństwa powstały. Jako niepospolita obserwatorka najnowszych stosunków społecznych przedstawia nam w „Meirze Ezofowiczu“ z wielkim artyzmem walkę pomiędzy starem a młodem pokoleniem żydów. W powieściach „Niziny“, „Dziurdziowie“ i „Cham“ nakreślone jest po mistrzowsku życie ludu białoruskiego. Wszystkie postacie pochwycone są z wielką trafnością i ogromną prawdą. W powieści „Nad Niemnem“ przedstawia Orzeszkowa nam wymownem piórem, a z gruntownością niepospolitą życie szlachty zaściankowej, ich zwyczaje i obyczaje, sposób życia, zajęcia i zabawy. Bezprzykładnie nizka cena, wynosząca 3 Marki 70 fen. za 4 duże tomy bez oprawy, a 5 Mk. w oprawie płóciennej — zapewnić powinna temu wydawnictwu takie same powodzenie, jakie przypadło w udziale pismom Sienkiewicza i Prusa.

Atlas do dziejów Polski, zawierający 13 map kolorowanych, opracowany przez E. Niewiadomskiego, wyszedł z druku nakładem autora. Cenny ten dla każdego, pragnącego się obznajmić z historyą ojczystą atlas, zawiera następujące mapy: „Ziemie zajęte przez plemiona słowiańskie w epoce monarchii Karola Wielkiego“, „Polska za Mieczysława I rok 992“, „Polska za Bolesława Chrobrego, r. 1025“, „Polska przez Bolesława Krzywoustego między synów podzielona, r. 1139“, „Polska w podziałach, r. 1279“, „Polska za Władysława Łokietka, r. 1333“, „Dzierżawy litewskie Gedymina“, „Polska za Kazimierza Wielkiego, rok 1370“, „Polska za Kazimierza Jagiellończyka, rok 1496“, „Polska za Stefana Batorego, r. 1586“, „Polska po rozejmie Andruszowskim i traktacie Buczackim, r. 1673“, „Rozbiory Polski, r. 1772, 1793, 1795“. „Księztwo Warszawskie, utworzone przez Napoleona I-go, r. 1807, powiększone 1809“, „Królestwo Polskie, utworzone w r. 1815 na kongresie Wiedeńskim“.

Nasze illustracye.

Wieszczba Ukraińskiego Lirnika.

Lud Słowiańskiego plemienia od najdawniejszych wieków z ery jeszcze przedchrześcijańskiej — swoich poetów, improwizatorów i śpiewaków wysoko cenił, przyznawał im moc nadprzyrodzoną, jako natchnionym z woli bogów, wierząc w ich wieszczby i przepowiednie.

W Polsce gdy gęśl była tak powszechną jak lira na Rusi, gęślarzom też same przyznawano przymioty i władze. Ztąd powstał jeszcze w naszej mowie wyraz *gusła*, którym oznaczamy wiarę w zaklęcia, czary, i przepowiednie, czy to w badaniu mroczcznej przyszłości, czy też w odkrywaniu rzeczy drugim nieprzystępnej.

Religia chrześcijańska nie zmniejszyła znaczenia ich i powagi.

Lirnicy na całej Rusi do dni naszych przetrwali; na Ukrainie najsławniejszy był pomiędzy nimi *Wernyhora*, którego wieszczby lud słuchał z pobożnym zachwytem.

W chwili gdy miał przepowiednie swoje ogłaszać, cała postać lirnika zmieniała się od razu; spojrzenie i oblicze promieniały nadziemskim wyrazem, kiedy z głębi jakby zmęczonej piersi dobywał słowo, aby oddać wiernie swoje *widzenie*, na które spoglądał oczyma swej duszy.

Scenę podobną przedstawia obraz. — Lirnik, jedną rękę trzymając na czole, drugą wzniesioną w górę, rozpoczyna swą wieszczbę, którą jeden z otaczającego grona pilnie spisuje. Na kolanach wieszczbiarza spoczywa jego lira; przy niej pochylona młoda wieśniaczka, zatopiła spojrzenie w sędziwego lirnika; oblicza zebranych cechuje pełna wiara i przerażenie smutne ze słyszanej przepowiedni.

Uchwały konferencyi w Hadze.

Skończyła się konferencya
Zgromadzona w Hadze,
Rozpoczęła się od blagi,
Skończyła na bladze.

Uchwalono pozostawić
Nadal spokój zbrojny —
Lecz się nie bić, tylko chyba
W razie jakiej wojny.

Dla zmniejszenia klęsk wojennych
Dla całej Europy,
Baby już się bić nie mają,
Tylko same chłopy.

Uwolniono od poboru
Po dyskusyach żwawych:
Niemowlęta, starców, głuchych,
Ślepych i kulawych.

Zabroniono także
Brać złote zegarki,
Chyba jeśli się przydadzą
Komu na podarki.

Kto zabity, może prosto
Iść sobie do nieba,
Lub do piekła — tak czy owak
Paszportu nie trzeba.

Sąd rozjemczy będzie sądził,
Gdy się strony zgodzą,
A gdy zgodzić się nie zechcą,
Niech się za łby wodzą.

Słaby niech silnego słucha,
Jasne ztąd pożytki:
I tak straci co ma stracić,
A nie będzie bitki.

Dalej chciano wszystkie armie
Zredukować zaraz,
Lecz uznano, że to byłby
Zbyt wielki ambaras.

Wreszcie uznał areopag
Wielki i dostojny,
Że należy zawrzeć pokój
Po skończeniu wojny.

D. K.

Wiadomości.

Majątek Ottowo pod Poznaniem, około 550 mórg dobrej ziemi, nabył za pośrednictwem firmy *Drwęski i Langner-Centralnej Agentury Dóbr w Poznaniu* — od p. Kęsego — p. Walenty Rosiński z Ostrowa. „Szczęść Boże!“ nabywcy.

Prośba. Potrzebne nam są do skompletowania kwartalników nr. 14-y, 15-y i 25-y „Pracy“ z roku bieżącego, upraszamy zatem Szanownych Czytelników o łaskawe nadesłanie nam tych numerów, za co im się w inny sposób wywdzięczymy.

Powieść p. t. **„Żona doktora“ już zupełnie wyczerpana i dlatego nadesłać jej nie możemy upominającym się o nią nowym abonentom. Kto z Czytelników życzy sobie mieć kwartalnik „Pracy“ od Nowego Roku do 1-go kwietnia r. b. już oprawny, niech nam nadeśle 2 mk., a otrzyma go z przesyłką franco.**

Pan A. Szmytkowski, właściciel renomowanej fabryki likierów w Pniewach, poleca rozmaite znakomite wyborne wódki deserowe; mianowicie jego *„Jubileuszówka“*, odznaczona na wystawie w Bordeaux złotym medalem, jest prawdziwym nektarem dla smakołyków. Pan Szmytkowski daje nadto bezpłatnie przepisy, celem fabrykacyi win krajowych. Odsyłając Szanownych Czytelników po bliższe szczegóły do inseratu zamieszczanego stale w „Pracy“, polecamy im to rzetelne i tanie polskie źródło zakupna zdrowotnych i czystych wódek na prowincyi.

Na sprzedaż jest pod korzystnemi warunkami skład porcelany, szkła, artykułów dewocyjnych, materyałów piśmiennych i t. d. w Kruświcy. Bliższe szczegóły podane są w inseracie.

Dochodzi nas następująca odezwa: „Hodowlę bydła i połączony z nią handel bydłem wszelkiego rodzaju uprawiano w prowincyi Poznańskiej od dawna z ożywieniem. Roczny obrót w samym tylko handlu trzodą chlewną, wynosił w prowincyi, jak sprawdzono, około 45 milionów marek, za same tylko prosięta.

„W ostatnim jednakowoż czasie hodowla i handel bydłem, a zwłaszcza trzodą chlewną, wskutek wydanych ze strony władz policyjnych rozporządzeń, celem zapobieżenia szerzeniu się rzekomo zarazy racic i pyska, w prowincyi Poznańskiej i na Szlązku znacznie ustały.

„W wielu miejscowościach, handel bydłem a mianowicie trzodą chlewną, zupełnie ustał.

„Panujące z powodu tego w prowincyi naszej smutne stosunki, tak prędko, o ile przewidzieć można, się nie polepszą. Wielu z tych, którzy pod względem egzystencyi swej skazanymi są jedynie na hodowlę i handel bydłem i trzodą, zagraża ruina majątkowa i utrata egzystencyi.

Ażeby zagrożoną w ten sposób hodowlę i handel bydłem, odnośnie trzodą chlewną w prowincyi Poznańskiej podnieść i grożące niebezpieczeństwo usunąć, uchwalili wybitniejsi hodowcy i handlarze bydła, w odbytym na dniu 2 lipca rb. w Poznaniu zgromadzeniu jednogłośnie, ażeby założyć:

„Towarzystwo ku ochronie hodowców i handlarzy bydła i trzody chlewnej w prowincyi Poznańskiej“.

„Wybrana przez zgromadzonych komisya, celem zebrania do zorganizowania Towarzystwa potrzebnego materyału, uchwaliła na odbytem w dniu 23 lipca rb. w Poznaniu posiedzeniu, zwołać w celu ostatecznego założenia wspomnianego Towarzystwa.

„Walne zebranie wszystkich hodowców i handlarzy bydła i trzody chlewnej, z prowincyi Poznańskiej, na dzień 13-go sierpnia r. b. w południe o godz. 12 w Poznaniu w hotelu Monopol, przy bramie Berlińskiej.“

„Wszystkich hodowców i handlarzy bydła bez wyjątku, jako też i panów Posłów, Adwokatów i Redaktorów, upraszamy niniejszem uprzejmie o łaskawe wzięcie, w interesie ogólnego dobra, udziału w powyższem Walnem zebraniu i o liczne stawienie się na dzień 13 sierpnia r. b. do Poznania.

Poznań, dnia 23 lipca 1899.

KOMISYA:

Józef Grandke, Miłosław, przewodniczący. Leon Kiciński, Buk. Bruno Bontke, Sarnówka. Stanisław Mieloszyński, Srem. Józef Kłosowicz, Sroda. Feliks Zieliński, Czempin. Jakób Hubert, Strzelno. Józef Bąkowski, Krotoszyn. Michał Wagner, Poznań 3. Franciszek Mąkowski, Srem, sekretarz. Morkowski, Srem, adwokat.“

Gniezno, dnia 4. 8. 1899. Walne zebranie Tow. organistów na Gniezno i okolicę odbędzie się w mieście naszem w poniedziałek dnia 14 b. m. o godz. $1^1/_2$ po południu w lokalu p. Rękosiewicza w rynku. Przewielebne Duchowieństwo, jako też Szanownych kolegów o liczny udział prosi Zarząd.

Gniezno. Zwyczajne zebranie miesięczne Towarzystwa ogrodników i przyjaciół ogrodnictwa na powiaty gnieźnieński, witkowski i wągrowiecki odbędzie się w przyszłą niedzielę dnia 13 b. m. o godz. 2 po południu w lokalu posiedzeń w cukierni p. B. Smętkowskiego, przy ul. Warszawskiej. Z powodu bardzo ważnych obrad i odczytów jak najliczniejszy udział członków pożądany. Goście mile widziani. Zarząd.

Ponin pod Kościanem. Jako długoletni abonent pozwalam sobie donieść o następującem zdarzeniu: Nasz gospodarz, p. Józef Stróżyk, przez jakiś dziwny wypadek spadł z topoli i połamał sobie żebra. Widząc się bezsilnym a mianowicie przy nastałych żniwach, bo i żona jego słabowita, postanowił gospodarstwo swe sprzedać. Lecz cóż — przyjaciele dawali za mało, a jeden gospodarz z sąsiedniego Czarnkowa chciał kupić owe gospodarstwo dla swego syna i podał już prawie odpowiednią cenę, cofnął się jednakże w ostatniej chwili, usłyszawszy, że Stróżykowi inni kupcy mniej dawali — szło więc na wytrzymanego. Stróżyk pozostał bezradnym i zwierzył się z swym zamiarem swemu sąsiadowi, który oczytany w gazetach, doradził pp. Stróżykom, aby sprzedali swe gospodarstwo, które się zresztą na parcelacyę nadaje, Bankowi Parcelacyjnemu w Poznaniu, na Piekarach swe biuro mającemu. Usłuchano rady dobrej. Dnia 21 lipca rb. pojechała więc żona p. Stróżyka do Poznania i ofiarowała gospodarstwo wspomnianemu Bankowi. Tenże postarał się o odpowiednie papiery i w środę, dnia 26 z. m. odbył się termin parcelacyjny, a dziś już odebrali Stróżykowie przed sądem w Kościanie pieniądze. Nie mam żadnego interesu w sprawie samej, chyba o tyle, że także kupiłem parcelę jednę z owego gospodarstwa za cenę, co prawda wygórowaną, lecz cieszę się, że kupiłem, bo mi ów ogród przylega i wiem, że za parę tygodni skoro pomiar nastąpi, otrzymam moją parcelę czystą, bez zasmarowanej hypoteki, na której osobny numer dla mnie będzie utworzony.

Kochani Czytelnicy! Trzeba o tym Banku parcelującym pisać, bo to ten sam Bank, który w ostatnim czasie nabył w naszej okolicy od p. Wilhelma von Woyrsch z Łuszkowa i od p. Fritza Heinzego w Borgowie folwarki i niebawem rozparcelował je, a przecież rozparcelował oprócz tego przed kilku dniami tutaj w okolicy więcej, bo n. p. w Wyrzeczu i Kiełczewie gospodarstwa większe po 200 mórg mające. Trzeba też głównie publikować taką działalność, bo jest wielu takich pomiędzy nami, którzy nawet nie wiedzą, że w Poznaniu znajduje się ulica, która się Piekary nazywa i że są Banki, które li tylko parcelacyą się trudnią, aby nasi, będąc w położeniu, jak np. nasz p. Stróżyk, wiedzieli dokąd się udać, chcąc gospodarstwo sprzedać. Dawniej przecież takich Banków nie było, więc nasi żydkowie, jak Mittwoch, Berg, Lissner, mieli czysty monopol na parcelacye, a gospodarz się tym pankom oddać musiał na łaskę lub niełaskę. Czy pp. Scheller z Kiełczyńskich Olędrów i Pusch z Konarskich Olędrów nie sprzedali także temu samemu Bankowi, a dziś tak nabywcy jak sprzedający są z Banku zadowoleni. Jeśli ci panowie znajdą Bank w Poznaniu, dlaczegoż nasi gospodarze znaleźć go nie mają, a wiem dobrze, że jeszcze są tacy, którzy tylko do żydków lgną. — Jeśli ma żyd zarobić, dlaczego nie pozwolicie zarobić naszym Bankom parcelacyjnym owego grosza, który przecież rzeczywiście pomiędzy naszymi pozostaje, bo płaci akcyonaryuszom dywidendy.

Adam Kordziński, oberzysta.

Lwów. Smierć Franciszka Zimy, starca, liczącego 72 lata, dyrektora galicyjskiej Kasy Oszczędności jest obecnie kwestyą pierwszorzędnej wagi nietylko u nas, we Lwowie, gdzie stanowi senzacyę dnia, ale i w kraju całym. Z ust do ust podają sobie rozmaite szczegóły z życia nieboszczyka, kupcy i przemysłowcy wyrażają się z prawdziwym żalem o Zimie, który długo stał na świeczniku potęg finansowych i niejednemu z nich z prawdziwą i skuteczną przyszedł pomocą.

Smierć to tragiczna. Człowiek, który bez cienia skazy, własną pracą i siłą charakteru zdobył sobie w społeczeństwie piękne imię i wpływowe stanowisko, umiera pod strasznemi zarzutami oszustwa na łożu w celi tego samego więzienia, w którem w r. 1863, za zaszczytny udział w powstaniu narodowem, trzymany był pod kluczem. Wtedy, z za krat więzienia, uśmiechała się do niego piękna przyszłość, teraz śmierć przecięła pasmo dni jego w chwili, gdy najstraszniejsze na nim ciążyły winy.

Kasa galicyjska Oszczędności pomogła mu do zdobycia niesłychanie wpływowego w mieście stanowiska, a na końcu stała się grobem nietylko jego życia, lecz jego dobrej sławy!

Zmarli.

S. p. ks. Antoni Kamiński, kanonik honorowy i proboszcz w Chełmży, w Pr. Zachodnich w 65-ym roku życia a 40-ym kapłaństwa.

S. p. ks. Jan Rook, proboszcz w Miłobądziu w Prusach Zachodnich, w 70-ym roku życia a w 41-ym kapłaństwa.

S. p. Maryanna Lewicka z Szandrachów w 63-im roku życia w Dąbrówce w Prusach Zachodnich.

S. p. Jan Potworowski z Wielkiego Sławska w Poznańskiem, w Berlinie.

S. p. Helena Stefańska w Gołańczy.

S. p. Ignacy Dutkiewicz w 62-im roku życia w Górczynie pod Poznaniem.

S. p. Kazimierz Kochowicz, przeżywszy lat 40, w Poznaniu.

S. p. Jan Żakowski, były nauczyciel w Krzywiniu, w 32-im roku życia.

S. p Lucyan Ludwik Chłapowski, z Rzegocina w Poznańskeim, uczeń uniwersytetu Fryburskiego, w Honnef n. R., w 19-ym roku życia.

Niech spoczywają w pokoju!

Kalendarzyk historyczny.

14. 8. 1824. Wyrok, skazujący filomatów i filaretów na wygnanie.

16. 8. 1809. Wojska polskie objęły w posiadanie Kraków.

15. 8. 1831. Lud burzy się w Warszawie i wiesza zdrajców.

17. 8. 1812. Wojsko polskie przyczyniło się do wzięcia Smoleńska.

18. 8. 1861. Rzeź ludu wileńskiego.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Wiktor Górski. Rozwiązanie nadesłane zostało za późno.

Panu St. W. w Inowrocławiu. Nie wiemy nic o tem, czy wiadoma powieść będzie drukowaną w Galicyi.

Pani Buchowska w Jagn. Nr. 31 już wyczerpany, o doręczenie pani tego numeru zareklamowaliśmy na poczcie.

Zagadka premiowa z historyi polskiej.

Gdzie i kiedy nastąpił na obczyźnie słynny atak jazdy polskiej pod dowództwem Kozietulskiego?

Rozwiązanie zagadki premiowej z historyi polskiej z nr. 32:

Generał Dąbrowski zawarł dnia 9 stycznia 1797 roku z dyrektoryatem rzeczypospolitej cyzalpińskiej konwencyę, mocą której wojsko polskie miało nosić nazwę „Legionów polskich, posiłkujących rzeczpospolitą cyzalpińską“ i pobierać żołd i całe utrzymanie na równi z wojskami cyzalpińskiemi.

Dobre rozwiązanie nadesłali do d. 8 b. m. rana:

Z Poznania:

Pp. J. Woźnicki i F. Rakowski.

Z prowincyi:

Z Pleszewa; p. S. Wysocka.
Z Wrześni (Zawodzia): p. B. Gorzeński.
Z Gostynia: p. A. Hejnowicz.
Z Kościana: p. S. Skąpska.
Z Margonina: p. Br. Kluczyński.
Z Strzyżewa kościelnego: p. S. Pietrzak.
Z Podzamcza: p. W. Hundt.
Z Niem. Popowa: p. F. Nawrocka.
Z Wielkich Lasek: p. Stepczyński.
Z Jaksic: p. A. Wolska.

Z Prus Zachodnich:

Ze Świecia: p. Konstancya Grzenia.

Z Górnego Ślązka.

Z Wrocławia: p. W. K. Szczepański.
Z Bytomia: p. J. Pisarczyk.
Z Gliwic: p. Emanuel Jan Biskupek.

Z obczyzny:

Z Berlina: p. A. Zelewska.
Z Lipska: p. S. Iwański.
Z Krefeldu; p. M. Koralewski.

Nagrodę otrzymał przez wylosowanie p. Emanuel Jan Biskupek z Gliwic.

Z powodu śmierci nadarza się od nierodaka

świetne kupno
pięknej wsi rycerskiej

uchodzącej słusznie za perłę jednego z najlepszych powiatów Księstwa.

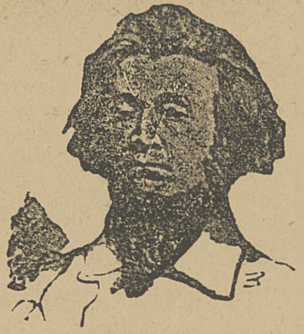
Obszaru ca. 1500 mg. incl. 130 mg. przepysznych łąk, ***ziemia obiecana — od skiby do skiby pszenna-buraczana I kl., w starej wysokiej kulturze,*** budynki znakomite, inwentarz dobrany i nadzwyczaj silny, ***pałac wielkopański o 16 obszernych pokojach w pośród prześlicznego cienistego parku,*** gospodarstwo renomowane na całą okolicę i bardzo zasobne, ***dworzec i szosa w miejscu,*** bujne urodzaje zapowiadają nader obfity sprzęt, ***czysty dochód gruntowy wynosi 4 mk. z morgi,*** tylko z landszaftowem obciążeniem, do sprzedania ***jeżeli zaraz,*** za stosunkowo bardzo niską cenę 400 tysięcy marek ***przy zaliczce już co najmniej 100 tysięcy mk.*** Majątek ten wart brat bratu pożądaną cenę ***bez targu.*** **Pospiech konieczny!** Bliższych szczegółów udzieli

Drwęski & Langner w Poznaniu.



S. Dzień dobry ci wiarusie.
L. Co to! takiś dziś punktualny.
S. Naturalnie, patrz, kupiłem sobie od **Białasa w Poznaniu** zegarek.
L. Ach! ach! jaki piękny, zapewne kosztowny? 778
S. Ty wiesz, że byle co nie kupuję.
L. Bardzo rozsądnie, wiem przecież, że Białas ma dobre i trwałe zegarki, regulatory, budziki, a jakie śliczne pierścionki, kolczyki, broszki, obrączki ślubne, okulary i t. d.
S. To też sobie kup od Białasa zegarek albo co tam potrzebujesz.
L. Napiszę jeszcze dziś po cennik.
S. Jadę wkrótce do Poznania, to ci kupię.
L. Proszę bardzo, po upatrzeniu sobie z cennika przyniosę pieniądze.

Nr. 22.



Jubileuszowe.

Mickiewicz.

Poznań.

Wichrowski & Święcicki.

1798—1898.

Mickiewicz.

Nowe

papierosy

aromatyczne

z doskonałych tureckich mięszanek.

Do nabycia:

Nr. 21.



Papierosy

Maryla.

Poznań.

Wichrowski & Święcicki

1818-1822.

Maryla.

we wszystkich

269

lepszych składach cygar, cukierniach i restauracyach.

Rzetelna usługa!



OBUWIE

724 poleca

W. Skórnicki, Poznań, Stary Rynek 46.

Na żądanie illustrowane cenniki!

Nizkie ceny.

Bilety wizytowe (100 szt. 1,50 m.) wysyła odwrotną pocztą **Drukarnia „Pracy"** Poznań, ul. Rycerska 38.



Piszą nam o znanej wodzie do pielęgnowania głowy między innemi co następuje:

„Nadesłany „JAVOL" znalazł zupełnie nasze uznanie i oddał wyśmienite usługi. Użyliśmy prawie wszystkich znanych wód na głowę i innych tego rodzaju preparatów, atoli musimy powiedzieć, że żaden środek obok „JAVOLU" do konkurencyi stanąć nie może, życzymy więc szczerze, aby doznał największego rozpowszechnienia.

Polecaliśmy już „JAVOL" w kołach naszych znajomych i nie będziemy się wahali, to samo nadal czynić. *v. V. w C.*"

„JAVOL" czyni włosy miękkiemi jak jedwab, gęstemi i bujnemi i jest bezwątpienia najlepszym i najzdrowszym środkiem celem pielęgnowania włosów.

Cena flaszki do dłuższego użycia 2 marki. Do nabycia we wszystkich pierwszorzędnych parfumeryach, drogeryach, także w wielu aptekach. 806

Browar parowy Kawiary-Gniezno

P. Górski

poleca Szanownej Publiczności swe jako najlepsze uznane wyborne

piwa

a mianowicie 82

jasne składowe i ciemne eksportowe

po cenach nader umiarkowanych.

Czekolada

w proszku do gotowania 40, 60, 80 i 1,00.

Czekolada w kawałku z wanilią lub bez wanili 80, 90 i 1,00.

Kakao pod gwarancyą czyste 1,60, 2,00 2,40 i 3,00.

Biszkopty, andruty, makaroniki, konfitury, pralinki, fondany na sposób francuzki i warszawski.

Karmelki owocowe, lodowe, roksy, dropsy, różne mięszanki na sposób angielski wyrabiane.

Herbaty prawdziwe chińskie od najtańszych do najlepszych poleca

Frenzel i Spł.

(właśc. P. Kryszkiewicz).

Największy wybór w atrapach i bombonierkach. — Główny skład Sucharda, Sarottiego, Kohlera, Petersa czekolady.

731

Założony 1845 r.

Najstarszy warsztat i skład obuwia

w Poznaniu poleca:



Nowość! Buciki wynalazku Krügera, patentem opatrzone, **do wiązania** jednem pociągnięciem szmurówki otwierane zamykane, własnego wyrobu.

Nowość! Buciki Lawe'go z materyi przejrzystej (warsztacikowe) dotąd niebywałe i niesłychanie wygodne dla cierpiących na nogi.

Sudoral! z apteki Petersa w Dreznie bardzo skuteczny środek ku poceniu się nóg i innych części ciała, zawsze na składzie, fl. 1 Markę, przepis gratis.

Wszelkie zamówienia i reparacye wykonuję spiesznie i akuratnie. 160

Wielki wybór! *Usługa rzetelna!*

K. MAY, Wilhelmowska ul. 21,

obok hotelu Rzymskiego.

Ulepszone teczki dla dokumentów

(z alfabetem, zupełnie nowy wynalazek), zapewniają wszelką wygodę w użyciu, zarówno dla kupców jak i prywatnych ludzi (cena 3 marki). 723

L. Gronau & Co., G. m. b. H.

Berlin S., Alexandrinenstrasse Nr. 97.

Teczki do papieru, przechowywacze listów dla porządkowania korespondencyi,

wygodne kasetki do formularzy (własnego wyrobu),

wszelkie nowości w papierach i przyborach piśmiennych.

Illustrowane cenniki gratis i franko.

Wielki skład piwa

A. Bociański,

Plac Wilhelmowski No. 18

a mianowicie:

Składowe, Krotoszyńskie, Pilzeńskie i Dortmundzkie, prawdziwe Kulmbachskie Rizzi, Monachijskie, prawdziwe Grodziskie, Wrocławskie, pszenne, Berlińskie białe piwa w sądkach i butelkach, także wodę selterską i limonadę po najniższych cenach. **Główna sprzedaż Krotoszyńskiego piwa w butelkach.** 730

Szanownej Publiczności jaknajuprzejmiej donoszę, iż **w Trzemesznie** założyłem

fabrykę wyrobów z cementu

a mianowicie

dachówek falcowych do pokrywania dachów, rur na studnie, kanalizacyi i mostów, koryt dla inwentarza, płyt na posadzki

we wszelkich kolorach i innych w ten zakres wchodzących przedmiotów. 693

Cenniki na życzenie franko.

Kazimierz Wszelaki.

Wyborne (niesulimowskie lecz) swojskie

od 16-tu lat zaprowadzone z najprzedniejszych tytoni wyrabiane

Dubec Crème, Turc fort petit canon, Carola i nowe Przemysłowe Nr. I. i II.

poleca wielokrotnie premiowana

Fabryka papierosów i tytoni

F. Polakiewicza Nast. 763

Wąsowicza & Szymańskiego

Poznań, ul. Podgórna Nr. 4.

Nadmieniamy zarazem, iż zaczepki naszych powyższych marek ze „Sulimą,“ przez wyrok sądu ziemiańskiego w Poznaniu i sądu rzeszy w Lipsku należytej doznały odprawy i dla tego pogróżki jej wobec nas żadnego nie mają znaczenia. Należyte objaśnienie zaś „sprostowania“ generalnej agentury „Sulimy“ **S. Żychlińskiego w Poznaniu** znajdzie czytelnik w poprzednich numerach.

Dla chorych na żołądek.

Wszystkim, którzy czy to przez zaziębienie, czy przeładowanie żołądka, przez używanie niestrawnych, zbyt gorących lub zbyt zimnych pokarmów albo też przez nieregularny tryb życia nabyli chorobę żołądka, jako to:

katar żołądkowy, kurcz żołądkowy, boleści żołądka, ciężkie trawienie lub zaflegmienie żołądka,

poleca się niniejszem dobry środek domowy, którego znakomite, zdrowotne działanie już od lat są wypróbowane. Jestto znany

środek trawienia i czyszczenia krwi

Hubert'a Ullricha Wino zielne.

Wino to jest przyrządzone ze znakomitych i uznanych zdrowotnych ziół i z dobrego czystego wina, i wzmacnia i ożywia cały organizm trawienia człowieka, nie będąc środkiem rozwalniającym. Wino zielne usuwa wszelkie dolegliwości w naczyniach krwistych, oczyszcza krew ze wszystkich zepsutych i szkodliwych substancyi i działa dodatnio na tworzenie się zdrowej krwi.

Przez wczesne używanie wina zielnego usuwa się choroby żołądkowe, najczęściej już w zarodku. Z tego powodu powinien każdy używać wina zielnego, zamiast tych wszystkich ostrych, drażniących i zdrowie rujnujących środków. Wszystkie oznaki, jak: **ból głowy, odbijanie, zgaga, wzdęcia, mdłości z womitami,** które przy **chronicznych** (zastarzałych) **chorobach żołądkowych** o tyle gwałtowniej występują, znikają po części po kilkorazowem piciu.

Zatwardzenie i nieprzyjemne skutki tego, jak **ściśnienie, żganie w boku, bicie serca, bezsenność,** jako też osadzenie się krwi w wątrobie i mleczu oraz **cierpienia hemoroidalne** usuwa wino zielne szybko i **łagodnie.** Wino zielne **znosi** każdą **niestrawność,** udziela organom trawiącym pomoc i odwodzi przez lekki stolec wszelkie niepotrzebne substancye ze żołądka i kiszek.

Mizerna bladość, niedokrwistość, osłabienie są po części skutki złego trawienia, niedostatecznego tworzenia się krwi i chorobliwego stanu wątroby. Przy zupełnem **braku apetytu, z rozstrojonemi nerwami i bez humoru** oraz częstym **bólu głowy i bezsennych nocach,** marnieją zwolna tacy chorzy. Wino zielne daje osłabionej sile życia nowy impuls. Wino zielne podnosi apetyt, ułatwia trawienie i wyżywienie, przyspiesza i ulepsza tworzenie się krwi, uspokaja rozdrażnione nerwy i tworzy choremu nowe **siły i nowe życie.**

Liczne uznania i pisma dziękczynne są tegoż dowodem.

Wino zielne jest do nabycia w butelkach po M. 1,25 i 1,75 w Poznaniu: w „Nadwornej Aptece“, „Aptece pod Eskulapem“, „Czerwonej Aptece“, aptece Jagielskiego, aptece Głabisza, oraz w aptekach: w Swarzędzu, Stęszewie, Mosinie, Kórniku, Środzie, Czerniejewie, Pobiedziskach, Murow. Goślinie, Obornikach, Szamotułach, Pniewach, Lwówku, Opalenicy, Grodzisku, Rakoniewicach, Wolsztynie, Czempiniu, Kościanie, Śmiglu, Śremie, Książu, Nowemmieście n. W., Żerkowie, Miłosławiu, Wrześni, Witkowie, Trzemesznie, Kostrzynie, Gnieźnie, Wągrówcu, Kłecku, Rogoźnie, Obrzycku, Wronkach, Sierakowie, Międzychodzie, Pszczewie, Trzcielu, Nowym Tomyślu, Zbąszyniu, Lesznie i t. d., jako też w Aptekach wszystkich większych i mniejszych miast W. Księstwa Poznańskiego i sąsiednich prowincyi.

Firma: **„Hubert Ullrich w Lipsku, Weststr. 82“** wysyła także po **3** i więcej butelek po cenach oryginalnych do wszystkich miejscowości w Niemczech franko w bezpłatnym opakowaniu.

☞ *Ostrzega się przed naśladownictwem!* ☜

Proszę wyraźnie żądać ☞ **Hubert'a Ullrich'a** ☜ **wino zielne.**

Moje wino zielne nie jest żadnym tajnym środkiem; tegoż części składowe są: Malaga 450,0, winny spryt 100,0, glyceryna 100,0, czerwone wino 240,0, sok jarzębowy 150,0, sok wiśniowy 320,0, kopr włoski, anyż, ameryk. korzeń siły, korzeń goryczki, korzeń tatark. po 10,0.

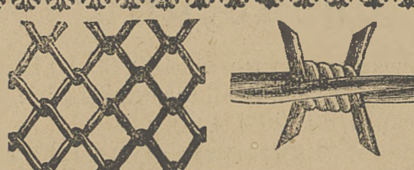
Oldenburg. wesermarskie buhaje

rozpłodowe,

wysokocielne jałówki i jałowice, ogiery rozpłodowe, klacze i źrebce,

franko do każdej stacyi dostarcza 40

Oldenburger Wesermarsch-Vieh-Absatz Genossenschaft e. G. m. u. H. Ellwürden, Grhgth. Oldenburg.



Ślusarnia i fabryka krat

z kutego żelaza do ogrodzenia domów, grobów i innych przedmiotów.

☞ **Wszelkie reperacye** ☜

wykonuje po umiarkowanych cenach.

St. SMORAWIŃSKI,

87 **mistrz ślusarski,**

Poznań, ulica Berlińska nr. 14-15.



Elixir de Kujawia
A. Kwiatkowskiego

jest najznakomitsz. środkiem przeciwko **siwiźnie,** nadaje w przec. 3—4 dni ich kolor i połysk. Elixir jest przez pp. dr. P. Jeserich i dr. J. Ulatowskiego jako jedynie polecenia godzien uznany. Cena but. **3 m.** Jedynym prawdziwym środkiem przeciwko **wypadaniu włosów** jest sławna od r. 1882, przez powagi lekarskie polecona A. Kwiatkowskiego

tynktura na porost włosów,

która wzmacnia nawet zupełnie słaby włos, skoro są jeszcze korzonki (tak zw. mech). Czyści głowę z łupieży, wyrzutów i sprawia przyjemność w używaniu. Cena za but. 2,50 mr. Za skutek ręczy i poleca

Z. KWIATKOWSKA.

☞ **Inowrocław, ulica Toruńska Nr. 10.** ☜

Do nabycia w składach: **W. Starka** w Poznaniu, u pp. **F. Perlińskiego, Marczewskiego, J. Bendy** w Inowrocławiu. 798